Bronisława Ostrowska

Z RAPTULARZA

*

A. B. C. POLAKA PIELGRZYMA

544.840/3

BRONISŁAWA OSTROWSKA

PISMA POETYCKIE

TOM TRZECI

WARSZAWA MCMXXXII KRAKÓW

BRONISŁAWA OSTROWSKA

Z RAPTULARZA

*

A. B. C. POLAKA PIELGRZYMA

WYDAWNICTWO J. MORTKOWICZA

Wydania pośmiertne z zasiłku Departamentu Sztuki
M. W. R. i O. P.

Odbito egzemplarzy numerowanych
1—20 na ręcznie czerpanym papierze mirkowskim
21—1000 na mirkowskim papierze bezdrzewnym

Nr. **113**

Przygotował do druku i opatrzył przypisami
LEON PIWIŃSKI

I. 544840/3

BIBLIOTEKA NARODOWA

Biblioteka Narodowa
Warszawa
30001008721073

Drukarnia Naukowa T-wa Wydawniczego w Warszawie
Rynek Starego Miasta Nr. 11

PODOBIZNA AUTORKI WEDLE PŁASKORZEŹBY
STANISŁAWA K. OSTROWSKIEGO

Z RAPTULARZA

1910 — 1917

POEZJE

Marzy ci się pieśń ofiarna,
Pieśń w serdecznej krwi skąpana,
Gdy obracasz ciężkie żarna
W szarym kurzu po kolana...

DYWAGACJE

BIBLIOTEKA NARODOWA

I

Dywagacjami nazwę ten poemat,
Nie przeto, by mnie stary tytuł znęcił,
Lecz że mi raczej trudno wybrać temat,
Któryby zaraz się wspak nie przekręcił,
Śmieszny nie wejrzał tragedji obliczem,
A ten, co zdał się być czemś, — nie stał niczem;

A zaś przeciwnie, niejedno nic drobne, —
Uśmiech czyjś, kwiatek, spojrzenie zwierzęcia, —
Wytwarza światy takie niepodobne,
Otwiera dale tak nie do pojęcia,
Że przystęp raczej tym rzeczom dać pragnę
I do tematu snów żadnych nie nagnę.

Myśl się tak często po papierze błąka,
Że ją na karcie białej prawie widzę:
Sunie powoli, właśnie jak biedronka,
Co pnie się wiosną po kwietnej łodydze
I stokroć spada w ziół podolne sidła,
Nie pamiętając wcale, że ma skrzydła.

I trza dopiero, by pracą mozolną
Doszła po listku strzępiatej paproci
Aż tam, gdzie, wkradłszy się szczeliną wolną,
Nagle ją słońce wiosenne ozłoci,
Aby poczuła swe skrzydła najletsze
I uleciała w błękitne powietrze.

Raczże i myśli mojej, wiosno matko,
Użyczyć tego jednego promyka,
Co się przekradnie tą podolną siatką,
Która mi skrzydła poezji zamyka,
I możność lotu otworzy im w końcu,
Jak tej biedronce, szybującej w słońcu.

Tymczasem zasię myśl błądzi po karcie,
Której nie plami żadna czarna zgłoska,
I przypominam sobie o tym żarcie,
By wydać książkę imienną: Ostrowska,
Złożoną z pustych kartek: — Ksiażka biała,
Nad którą taka a taka — myślała.

Żart, — ale taka książka to jest pole
Dla nieskończonych snów. Żart oczywiście.
Ale ja z listów mych wspominać wolę
Zawsze o każdym niewysłanym liście...
Mówicie, — gdyby oddano wet za wet?
Ha, może byłoby to lepiej nawet.

A jednak piszę. Prawda! Pisać trzeba.
Żebrak, co marzy o rajskich owocach,
Zmuszony nędzą zjada kromkę chleba.
O sny, prześnione w mych bezsennych nocach!
O wieczny smętku dokonanych rzeczy!
O życie, które prawdą — prawdzie przeczy!

Dlatego piszę wierszem; piszę rymem,
Co jest sam w sobie niby echo senne,
I umie słowa rozsnuć tak jak dymem
Ognisk pastuszych nad pola jesienne...
Dlatego piszę rytmem, co porusza
Strunę, tęskniącą w nas od Julijusza...

I obojętne mi jest, czy krytyka
Naśladownictwem to nazwie dziecinnem
I kobiecością, co chętnie pomyka
W szlaki znaczone przódy skrzydłem innem...
Która dróg własnych z wysiłkiem nie szuka...
(Tu patrz prospekty agencyi Cooka.)

Dróg własnych... Mocny Boże! Mocny Boże!
Któż zna własnego serca rytm zdradziecki?
Czyż tej harmonji już nie grało morze
Błękitną pieśnią o wolności greckiej,
Gdy jako biała mewa uskrzydlona
Mknął po roztoczy żagiel — sen Byrona...

Mnie zaszumiało tą sekstyną drzewo
Na jednym smutnym paryskim cmentarzu.
Właśnie pytałam: w prawo czy na lewo
Do grobów polskich, uprzejmy grabarzu?
(Cmentarz to jedna we Francji miejscowość,
Gdzie odróżniają polską narodowość.)

A on ukazał mi szary, kamienny
Krzyż, jak był niegdyś w romantycznej modzie.
A dzień był jasny, słonecznie wiosenny,
I snadź po jakimś dorocznym obchodzie, —
Bo ktoś grób ubrał wieńcami cyprysów,
A na krzyż rzucił garść białych narcysów.

I tak świeciły one białe kwiaty,
Właśnie jakoby gwiazdy na tym grobie,
Że się wydawał gwiazdami skrzydlaty,
I taką wnętrzną promienność miał w sobie,
Jakby ta jedna samotna mogiła
Więcej żywota niż sam żywot kryła.

Ptak jakiś śpiewał, a w dali szumiało
Olbrzymie miasto zgłuszonym hałasem.
Cicho... wiatr w wieńcach westchnął: ludzka chwało!
Fala wieczności gra płynącym czasem,
Rzucając li niekiedy na brzeg szumny,
Jako bezcenne muszle, — takie trumny.

Trumny, świętemi siejące popioły
Po wszystkich wielkich świata cmentarzyskach...
Graniczne stołbce i stróże anioły,
Które się jawią duchom całe w błyskach,
Jako poemat — pisany po świecie
Grobami. Wicher sądu go odmiecie.

I Bóg odczyta wielką pieśń tęsknoty,
Którą napisał sam o mej ojczyźnie,
Lecz snadź przepomniał. Przez bluszczowe sploty
Czołg się jakowyś z martwym sykiem śliźnie.
I słyszę w liści umarłych szeleście
Ironję wspomnień: do kraju ich wieźcie...

Nie! Dosyć o tem! O żadnym pogrzebie!
Ani Wawelu, Skałce, ani Tatrach, —
O żadnym grobie! Choćby on już w niebie
O powstającej jutrzni mówił w wiatrach,
Jeszcze niewidnej w dole, a już w górze
Odziewającej śnieżne szczyty w róże, —

Nie chcę! O pięknej śmierci dosyć. Basta!
Tatry nakryły Polskę sarkofagiem,
Lecz Zmartwychwstania ziarno pod nim wzrasta,
Aż jako kłosiem błyśnie mieczem nagim,
Który podejmie rycerz Giewontowy
W gwiaździstą cudu noc, nad smreków głowy.

O owem ziarnie przeto, nie o grobie,
Który otula je na zimowanie!
Onego ziarna szukać pragnę w sobie,
Znaleźć, uwierzyć w nie, aże powstanie, —
Aż w kłos mieczowy zwycięsko wybuja,
Po łanach szumiąc zbożnych: — Alleluja! —

Paryż, 1911.

II

Statek dojeżdżał w cichej zorzy rannej
Do Krwawych Wysp na korsykańskim brzegu.
Za niemi świeci dal zatoki szklannej,
Niezamąconej od pian morskich śniegu.
Bowiem rozbija się morze w zapędzie
O tych wysp skalnych obronne krawędzie.

Szum gorzkich pian i mew żałobne wrzaski
Przed wielką pustką skał, co wejścia bronią.
A w tej zatoce błękitnemi blaski
Przelśnione fale w sen cichy się kłonią,
Jak w wielką czarę ujęte w wybrzeże,
Którego łańcuch gór zazdrośnie strzeże.

Na statku mała gromadka podróżnych:
Kilka Angielek, jeden gruby Niemiec,
Paru Francuzów dyskretnie usłużnych,
A w środku jeden staruszek tuziemiec
Z Korsyki rodem, nazwiskiem Folacci,
Pouczał — więcej siebie niż słuchaczy.

Bo się jak dziecko lubił cieszyć głośno,
Że znowu widzi to swoje wybrzeże;
I każdą drobną nowiną radośną
Dzielił się z ludźmi tak prosto i szczerze,
Że zapominał zgoła, iż go słyszy
Garść cudzoziemców jeno, vel «English'y».

«English'e» wielce Korsykanom straszne
I nienawistne są, ale mój stary,
Opatulony w swe czerwone cache-nez,
Co chwila trąc spotniałe okulary,
W swym kapeluszu (z pierwszego cesarstwa),
Na którym legła morskiej soli warstwa, —

Nie dbał, wskazując kolumbowym ruchem
Z kolei każdy szczegół na wybrzeżu:
Właśnie Wysp Krwawych zdradzieckim łańcuchem
Przejeżdżał statek, a jako w więcierzu
Ryby rzucają się, tako Angielki
Podniosły w strachu ruch i zamęt wielki.

Lecz je Folacci uspokoił rychło,
Zwłaszcza że owo nagłe kołysanie
Jako zaklęte odrazu ucichło,
Gdy statek minął skał spienionych granie
I na zatoki gładkiej wjechał szyby...
Więc tylko parę «ach» i parę «gdyby» —

I znów głos zabrał Folacci: «Mój Boże!
Tu chciał mieć grób mój rodak Bonaparte...
Aby po śmierci jeszcze słyszeć morze,
Nad jego trumną sprawujące wartę...
Piękny grób, prawda?» Tu do mnie się zwrócił.
Lecz mnie ten pejzaż przejął i zasmucił:

Tych Krwawych Wysp bezmierna pustka głucha,
Grzmiąca fal groźnych złemi kantyleny,
Wydała mi się w tajni tego ducha
Przeczuciem dzikich skał Świętej Heleny,
A taka groźna tu, jako przestroga,
Rzucona wielkim ludzkim snom — od Boga.

Nie wiem, czy ziemia tak się łączyć może
Z ludzkiemi losy, by mogła — symbolem
Stać się duchowi, a szumiące morze
Grać tym, co kiedyś ma przyjść, snem i bolem...
Zali się może pejzaż stać proroctwem,
A potem ostać tak z wiecznem sieroctwem

Po dopełnionym żywocie... Zaiste
Nie wiem. Lecz takie myśli były we mnie.
I zdały mi się te zręby skaliste
Wieczną żałobą płaczące daremnie...
Więc, nie zgłębiając już, co tajń ta znaczy,
Jęłam znów słuchać słów pana Folacci.

BIBLIOTEKA NARODOWA

A on wskazywał dumnym parasolem
Łagodną linję błękitnej zatoki,
Którą gór łańcuch zamykał półkolem,
Śnieżnemi szczyty bodący obłoki,
A dołem oliw zagaje pajęcze
I teras kwietnych woniejące tęcze.

I mówił: «Za tą linją, państwo moi,
Zjeździłem oto napróżno pół świata!
Żadna tak oka łagodnie nie koi,
Żadna tak wieńcem brzegów nie oplata!
Kiep, kto Ajaccio równał z Neapolem!»
Tu krąg zatoczył dumnym parasolem.

«Ach, Gott!» westchnęła wraz sentymentalna
Niemka: «więc czemu Pan tu nie zostaje,
Jeśli tak mu się podoba ta skalna
Ojczyzna, morze i oliwne gaje?»
Na to Folacci westchnął: «Takby trzeba!
Lecz cóż? tu braknie — paryskiego chleba.

Tak. Od pierwszego pobytu w stolicy
Wraz nauczyłem się dobry chleb cenić:
Tutejsi, pani, piekarze są dzicy, —
Żaden nie umie bochna przyrumienić,
Wyzłocić, przypiec... Tam do tego nieba,
Lecz tu się tęskni — do tamtego chleba.»

I znów mój stary westchnął, utarł nosa,
I wzrokiem dziecka potoczył nad morzem;
A potem na mnie popatrzył zukosa:
«Tak, między chlebem,» —rzekł,— «a słowem Bożem,
Które przemawia w tem słońcu, w tej ciszy,
W tej świętej linji brzegów... Pani słyszy.»

I tu uczynił gest Incroyable'ów,
Wskazując piękne pejzażu walory;
Potem z kieszeni swych inexprimable'ów
Wydobył chustkę w wielkie barwne wzory
I tak pozostał w stylowej zadumie,
Jak historyczny dokument w tym tłumie.

— — — — — — — — — —

Już wjeżdżaliśmy w miasto i koleją
Mijali ciche grobowe kaplice,
Nad morzem długą leżące aleją,
A przystrojone, jak oblubienice,
W marmurów śnieżną biel, mirtów zieloność,
I zapatrzone w modrą nieskończoność.

Bo się poczyna Ajaccio — cmentarzem,
Tworzącym długi gościniec żałoby,
Wiodący w miasto żywych. Tym pejzażem,
Gdzie w morze patrzą zadumane groby
Oko zachwyca się, myśl błądzi zasię
W nieskończoności dwóch błękitnym pasie.

Ale ją rychło odwołuje życie
Widokiem miasta, które wprawdzie nieco
Brzydsze, lecz równie skąpane w błękicie,
Kędy jaskółki rozkrzyczane lecą,
Ponad przystanią krążąc. I tam wreszcie
Statek przybija. Lądujemy w mieście.

Wszystko, czem dało się naturę pobić
Gwoli zepsuciu piękna, tu już było
Zrobione; ale wierzcie, trudno zrobić
Cokolwiek tam, gdzie z nieśmiertelną siłą
Mówi harmonja piękna, a duch Boży
Z barw, świateł, linij baśń wieczystą tworzy.

Więc ulic brud, i domów rozrzucenie
Bezmyślne, i sam brak architektury —
Jest niczem, kędy wiotkich palm kiścienie
Rzucają hafty światła, a gdzie góry,
Srebrnemi śniegi okute obficie,
Zdają się miastem Bożem być — w błękicie.

Więc ono miasto dolne, pstre i brudne,
Nie razi, ani zbyt wstrzymuje oka.
Ulice zresztą milczące, choć ludne,
Nie przerywają zadumy. Z wysoka
Słońce świat kąpie w tak modrem przezroczu,
Że kres najdalszy jest bliskim dla oczu.

I w onem słońcu piękna jest i dziwna
Przeważna liczba cichych ludzi w czerni...
Barwa, co zda się naturze przeciwna,
A tu z obrazem żeni się najwierniej,
Słońce z żałobą i błękit z grobami
Wiążąc w pieśń, która dotąd w sercu gra mi.
— — — — — — — — — —
— • — — — — — — — — —
Folacci wnet zajechał po mnie arką,
Co tam oznacza powóz do najęcia.
Konik w niej zresztą dobry, chodzi szparko,
Woźnica siedzi z miną godną księcia,
Bicz purpurową kokardą się pali...
Siedliśmy w arkę więc i pojechali.

Powóz się toczył ubitą aleją,
Cienioną srebrnem tłem eukaliptusów,
Między któremi błyskała koleją:
Raz w raz zatoka umarłych turkusów,
To znowu niskich łąk majowy szmaragd,
To wille, pełne pnących róż katarakt.

Żarkie oddechy ziół i skał nagrzanych
Nawiewał czasem wiatr od wzgórz oddali,
Które od jakichś kwiatów mi nieznanych
Były pstre i płynęły nakształt fali
Pod wiatrem gęstwią bujną, taką świetną,
Że rwała oczy swoją tęczą kwietną.

Te kwietne wzgórza, korsykańskie landy,
To—«maquis»—słynne w wszech pieśniach vendetty,
Wonne oddechem cząbru i lawandy,
W których zbójnicy kryją się jak krety,
Drwiąc z wszelkiej kary, i władzy, i prawa,
Wolni, — dopóki jeno chęci stawa.

Chęci, tchu w nozdrzach, w dubeltówce prochu,
Koziego sera po pasterskich chatach, —
Chyba że wkońcu znudzi się potrochu
Błądzić samotnie w woniejących kwiatach,
I oną kwietną ziemię kochanicę
Zmienić się zechce na kraśniejsze lice

Bliższej kochanki... A ta częściej zdradza
I ludzkiej zemście kochanka oddaje.
Wtedy dopiero tryumfuje władza,
Mołojec pada, płaczą kwietne gaje,
Wstaje pieśń-płaczka i nad wyspą bieży
W słońcu, z chustami pełnemi krwi świeżej.

Pieśń budzi pomstę znów, i tak dokoła
Krwawo przetacza się żarno vendetty.
Stygmatem śmierci znaczy bujne czoła
Młodzieńców, zasię żałosne kobiety
Dziesięcioletnią żałobą otula,
Palącą, jako Dejanir koszula.

Lecz nie tak krwawe myśli po mej głowie
Chodziły podczas jazdy oną drogą...
Te nie wiem, zali w mej myśli wysłowię,
Bo lekkie są, i tak się rozwiać mogą
Pod ciepłym tchem sirocca, jak te puchy
Kwietne, lecące po łąkach jak duchy.

Myślałam oto, że za ziół tych wonią
Tęsknił podobno całe życie swoje
Ten, co pół świata miał pod władną dłonią...
I o tem, że tych srebrnych puchów roje
Tak samo z jego snami latać zwykły —
I choć sny znikły z nim — one nie znikły...

Folacci siedział koło mnie w milczeniu,
W swej redingocie empire obciśnięty,
Z okularami błyszczącemi w cieniu
Stosowanego kapelusza. Ścięty
Po drodze kwiatek bielał w butonierce,
Jakgdyby miał zdobywać czyjeś serce

Długo oporne. Jechaliśmy w ciszy,
Którą przerywał tylko smętny dzwonek
U szyi konia... Wiatr wciąż wonią dyszy,
Pod niebem kędyś trzepoce skowronek,
Woźnica czasem do konia zagada
I biczem zetnie liść, co wolno spada,

Drgając w powietrzu... Wreszcie okrążywszy
Miasto — przez placyk z gromadką dzieciarni
Zajechaliśmy w sposób najszczęśliwszy,
Przed dom, rządzony widać gospodarniej,
Bo miał przed sobą ogród, kwiecia pełny,
A w nim wietrzone koce z białej wełny.

Wielka, nad bramą wisząca tablica
Z napisem «Schweizerhof» — powiadamiała,
Że jest to wszystkich przyjezdnych świątnica,
W której wzmacniają swe dusze i ciała:
Ciała spoczynkiem, kawą i likierem,
Dusze rozmową zaś i Baedekerem.

A wszystko było tam: i chleb z zakalcem,
(Biedny Folacci!) i mandoliniści,
Na mandolinach mdłym dzwoniący walcem,
Niemiecka służba, i z bobkowych liści
Wieniec dokoła biustu Napoljona,
I sztychy, jak żył, jak bił i jak kona...

O melancholjo wielkości! Nie będę
Tutaj o tobie pisać, bo nie trzeba...
Lecz że wyniosłam w całości legendę
Cezara stamtąd, ach, z pod jego nieba —
To jest zasługą moją niepodzielnie,
Co niechaj wzmianką tą unieśmiertelnię.

Choć nie! Bo nie jest to zasługa moja,
Lecz raczej onej ducha błyskawicy,
Co kraj ten skuła z żywotem heroja...
A także jednej mistycznej dziewicy
Skalnej, uśpionej samotnie na szczycie
Złotego Wirchu w wysokim błękicie.

Tak bowiem jako rycerz Giewontowy
Czeka nad głuszą żałobnych smereków,
Kiedy go zbudzi róg, na żywot nowy,
Głosząc zwycięstwo śpiącemu od wieków —
Tak tutaj dziewa, skalną skuta granią,
Śpi, ponad borów bukowych otchłanią.

Oczy wślepione w nieb błękitne runy,
Nad głową bezmiar samotnych błękitów,
Na włosach śnieg i kaskad srebrne struny,
W doliny ciche płynące ze szczytów;
Pierś podniesiona snadź wichru pochwyca...
Tak Giewontowa śni oblubienica. —

Może dopiero gdy ona powstanie
I dłoń wyciągnie przez błękitne morza,
Błyśnie i jemu to święte zaranie,
Ta utęskniona wiekuista zorza —
A onych dwoje stanie w glorji słońca
Na dzień zwycięstwa, szczęśliwość bez końca.

Prawda, jak piękna to bajka! I jaka
Szkoda, że nasi Napoleoniści
Nie przyłączyli jej do swego szlaka
Wróżb, który z skrzydeł, tęcz, laurowych liści,
Przez modre morza, i góry, i śniegi
Prowadził ufne, męczeńskie szeregi.

A raczej, jaka szkoda, że te czasy
Minęły, i dziś znamy kruchość wróżby,
Patrząc tak w przeszłość. Ciemnych buków lasy
Szumią echami zapomnianej drużby,
Ale kaskady srebrne lecą w morze,
Jak płaczki jęcząc: Gorze! Gorze! Gorze!

Korsyka, 1911.

LAMENTY

I

Miłości moja! O, miłości moja!
Byłaś tak piękna, jak słońce nad morzem!
Byłaś tak jasna, jako woda zdroja!
Byłaś słonecznem zmiłowaniem Bożem!
Byłaś, jak święta sól, potrzebna życiu,
I jako żagiel, chroniący w rozbiciu!

Miłości moja! Miodzie złotych plastrów!
Żaglu, niosący nowinę radosną!
Ogrodzie kwietnych fijołków i astrów!
Procesjo biała, sprawowana wiosną,
Skrzydło do lotu niosące, i ciszo,
W której się głosy przenajświętsze słyszą!

Wszak moja byłaś! Och, moja na wieki!
Czemu dziś leżysz zastygła w tej trumnie,
Do której starzec czas zabija ćwieki, —
A ludzie zewsząd zbiegli patrzeć tłumnie
I teraz kręgiem stoją, kręgiem stoją,
By patrzeć w ciebie — zmarłą miłość moją.

O, jak pod niebem jasno, jak błękitnie!
Jak aż do bólu gaj pomarańcz dyszy!
Nowemi kwiaty snadź od ranka kwitnie
Po tych, którem ja dzisiaj w rannej ciszy
Rwała, by pokryć płatkami twe zwłoki...
Och, jaki błękit jasny! jak wysoki!

Słońce nad morzem powstało jak codnia,
Jak codnia z krzykiem jaskółki się gonią,
Jak codnia słyszę piosenkę przechodnia,
Jak codnia fale u brzegu się kłonią...
I tylko niema ciebie! Niema ciebie!
O, że to słońce nie zgasa na niebie!

Z pluskiem się fala o brzegi rozbija,
Z gwarem się zbiera tłumna ludzka rzesza.
Wziąć mi chcą ciebie! — że ty już niczyja,
I że cię ziemi trza. A żal nie wskrzesza.
Łzy płyną w serce ciężko; jak godziny
Bez ciebie. Płomień gromnic tli się siny.

O ludzie! ludzie! dajcie mi choć z Wami
Trumnę miłości nieść w ostatnią drogę! —
O jaka ciężka! ciężka! — serce łka mi...
O jak przygniata wdół! O iść nie mogę!
Ty, któraś była mi skrzydłem polotnem,
Jakoż się stałaś brzemieniem stokrotnem.

Azali wszystkie góry, wyspy słońca,
Legły na oną garść więdnących kwiatów?
Azali męka ta będzie bez końca?
Zali ja dźwigam cały ciężar światów?!
Miłości moja! o miłości zmarła —
Jakaż się otchłań przede mną otwarła?...

II

Trzech miała braci moja miłość zmarła,
Trzech, szanujących święte zemsty prawa.
Więcem im wrota świetlicy otwarła:
Niech przed obliczem mojem każdy stawa,
Niech bierze rozkaz pomsty i krwi świeżej —
I bieży mścić — zabójcę karać bieży.

Wszedł pierwszy—Ból—i stał przed mem obliczem
Jęcząc, a jam mu sztylet dała krwawy
Z rytym napisem śmierci, — aby niczem
Nie powstrzymany był cios pomsty prawej.
Wziął więc z mej ręki karzące narzędzie,
Skłonił się i szedł mścić. Niech Bóg z nim będzie.

I oto wzdłuż i wszerz zbiegł wyspę słońca
Od Złotych Wirchów aż do skał pobrzeżnych,
Ale nie znalazł w wędrówkach bez końca
Tego, co zabił miłość. Więc z gór śnieżnych
Nad morze tedy zbiegł, i w jasnym świcie
Obaczył w głębi swe własne odbicie...

I w ten swój własny obraz z krwawą stalą,
Z twarzą zabójcy, rzucił śmierci ostrze.
A sztylet przebił je, i legł pod falą,
I zmącił. Fala się kręgiem rozpostrze
I mrze. A on, że nie mógł msty dokonać
Wrócił i legł mi do stóp — aby skonać.

I wszedł brat drugi — Kłam. Z obliczem cichem
Skłonił się, pełznąc ku mnie nakształt gadu.
A ja czekałam go z pełnym kielichem
Ziela omanu — śmiertelnego jadu.
I w ręce jego zdałam czarę zbrodni,
A on ją wziął, skrwawioną w skrach pochodni.

Ale już nawet nie wyszedł z świetlicy
Szukać zabójcy, jeno podniósł czarę
Ku mnie — i spełnił ją sam, w błyskawicy
Gasnących świateł. I wraz cienie szare
Weszły i wszystko skryły runem cichem
Nad nim, gdy konał z rozbitym kielichem.

A tedy trzeci wszedł brat — Bezimienny,
I jak ćma szara, do ściany przybita,
Usiadł naprzeciw mnie, niemy i senny,
Patrząc wejrzeniem, które wiecznie pyta
I, nie znajdując odpowiedzi w nikim,
Skarży się wielkim wiecznej głuszy krzykiem.

I ona głusza legła wraz nade mną,
Jako ciążące mej miłości wieko.
I wszystko stało się złudą daremną,
Wszystko odbiegło daleko... daleko...
I jeno głusza ta wiecznie ostawa,
Aby dopełnić święte zemsty prawa.

III

Jestem zabójcą! Zabójcą! Zabójcą!
Zabiłam szczęście me i miłość moją!
O, jakoż stanę przed tą krwawą trójcą
Mściwców, nieschronna żadnych ułud zbroją?
Zabiłam żywot mój i duszę duszy!
Zabiłam... Serce mi się w piersiach kruszy.

O, jakoż to się zabija — całunkiem?
Jakoż wyklina się — błogosławieństwem?
Jakoż się łamie — serdecznym ratunkiem?
Jakoż się karze — ofiarnem męczeństwem?...
Zabiłam ptaka bożego — świt jasny!
Zabiłam własną ręką — żywot własny!

Kędyż uciekę? O, kędyż się skryję?
Jakaż mi dola dziś i gdzie mi droga?
Śmierci chcę! Ale klątwa wiecznie żyje.
Klątwa, co wzrasta w straszliwego boga,
I na tym placu w słońcu i błękicie
Biczami węży gna od śmierci w życie.

O, kędyż pójdę? Zali z Złotej Perci
Padnę lawiną, krusząc wszystko w dole?
Zali zażegę Kraj Słońca i Śmierci
Pożogą? Zali w Krwawych Wysp półkole
Pójdę z falami gromem bić? I zali
Zmąci tę głuszę huk ognia? ryk fali?

A może jeszcze — wykradnę twe zwłoki —
I w szklanej trumnie zazdrośnie ukryję...
I gdzieś nad ciszą błękitnej zatoki,
W złote łańcuchy skutą, a w lilije
Strojną, u cichych gdzieś oliw zawieszę,
Czekając chwili cudu — kiedy wskrzeszę...

Korsyka, 1911.

Z WYSPY SŁOŃCA I ŚMIERCI

AJACCIO

Uwieńczona gajami kwietnych pomarańczy,
Ujęta w gór śnieżystych zazdrosne koliska,
Modrooka zatoka śni, jak odaliska
Pod słońcem, co na falach dżdżem Danai tańczy.

Wesoły zefir lekko białe żagle nianczy;
Cicha woda, jak turkus umarły, połyska;
Od górskich hal niekiedy spiekłe wrzosowiska
Dyszą nagłym powiewem woni opętańczej.

Wzdymaj się, lotny żaglu! Śpiesz ku brzegom, łodzi!
Widzisz te domy białe wśród kwiecia powodzi,
Przyczajone, jak stado gołębi na łanie?

Tu mieszka szczęście. Cicho! Wciąż senniej i słodziej
Płyniesz w czar miłowania... Zali wzrok cię zwodzi?
To kaplice umarłych. — Wieczne spoczywanie. —

VOCERATRICE

Płyń, łodzi. Sen się prześnił i złuda przewiała.
Cóż, że toczący robak zdradnie dno twe wierci?!
Jeszcze żagiel twój biały wysoki, i ster ci
Pozostał, i mórz wolnych tajnica wspaniała.

A, gdy spoczniesz, to w locie—jako mewa biała...
Patrz, rozkoszą gorzeje brzeg Słońca i Śmierci:
Kaskady róż ci wieją z ponad brzeżnych perci,
Kaskady róż — o woni dziewiczego ciała.

Słysz! Nad zebranym tłumem pieśń w błękitach gędzie:
Kapłanka słońca śpiewa, — ołtarz skrzy ofiarny...
Zali —trumna? Gromnice w długim płoną rzędzie...

Ciemne laury dokoła... dym kadzideł parny...
Żeglarzu! czy za tobą śmierć tak goni wszędzie,
Czy ty sam na te brzegi rzucasz cień cmentarny?

LAMENTI

Nad bohatera trumną lament buchał w słońce. —
Słysz, pielgrzymie! Czy echo zbłąkane cię wzywa?
Oto w zerwanych kajdan palące ogniwa
Zakuwają cię znowu wspomnienia — pogońce:

«Byłeś mocny, jak wicher, gdy z gór cię porywa!
Byłeś szczęsny, jak żagle, dobrą wieść niosące!
Ległeś we krwi, jak słońce, wśród zórz zachodzące!
I gorejesz nam w sercach, jako łuna mściwa.

Pomsty! Pomsty! Po trzykroć pomsty za krew wołam!
Z Bogiem lub mimo Boga — niech giną morderce!
A, jeśli msty w żywocie dopełnić nie zdołam,

Tedy w śmierci — upiorem daj gryźć mi ich serce!»
Milcz! Znam tę pieśń... Sztyletu stal o trumnę połam!
Nieszczęsna! Gorze temu, kto z Bogiem w rozterce.

VENDETTA

W przystani, którą zachód krwią słoneczną płoni,
Przed rzeszą, zawodzącą nad trupem lamenty,
Stał żeglarz obcy, cieniem żagla spowinięty
Pod błyskami sztyletów i w kadzideł woni.

Aż jako morze, kiedy wichr nagły je skłoni
I zakołysze z rykiem groźnemi odmęty,
Tak gromadą przeleciał szum groźby: «Przeklęty,
Kto prawej pomsty słucha bez żelaza w dłoni!»

I znowu groźba morzem szumiała: «Odpowiedz,
Jakiemiś ty wichrami tu zagnanym ptakiem,
Żeś bezpowrotnie zbłądził we śmierci manowiec?

Oto stoisz przed mściwców orężnych orszakiem.
Ktoś ty?» — I — jakby głazy w głąb staczał — wędrowiec
Rzucił słowa — swój cały skarb: — «jestem Polakiem».

Korsyka, 1911.

*

* *

INWOKACJA

Święcę Ci serce moje: drogocenną czarę,
Złotem winem miłości nalaną nad miarę —

Tak hojnie, aż z ronionych pian zbiegłemi śniegi
Razem się Imię Twoje przelało przez brzegi.

I oto czarę mojej miłości bezcenną
Niosę w życie radosną, wolną, bezimienną,

I wszech cudów tej ziemi ją stroję ozdobą:
Nie Ty mi jesteś wszystkiem,—lecz—wszystko jest Tobą.

— — — — — — — — — — — —

SZCZĘŚCIE

Nie więźcie mnie, nie więźcie,
Nie powstrzymujcie mnie!
Ja muszę gonić szczęście,
Co szlakiem wiosny mknie.

Tak szybko, szybko pierzcha,
Tak wciąż ucieka z rąk!
Gdzie chwycę — tam już zmierzcha,
Już w nowy skwita pąk...

Nie przekwitł mi sasanek,
Ukryty jeszcze w śnieg —
A już kaczeńców wianek
Na modrym stawie legł...

Wczoraj mi błysł rozkwitły
Biały wiśniowy sad —
A dziś puch bzu błękitny
Na moje oczy padł...

Nie więźcie mię! Nie więźcie!
Nie powstrzymujcie mnie!
Może dogonię — szczęście, —
Co kwitnie — w białym bzie.

LALKA ROZBITA

«O moja lalka! O moja lalka rozbita!»
Pod mojem oknem w ogrodzie dziewczynka szlocha.
Czeremchy mocno pachnącej kwitnąca kita
W okno mi puka wspomnieniem — wietrznica płocha!

Więc znowu wiosna? więc znowu wiosna rozkwita?
Czeremchy kwitną i w gwieździe słowik się kocha?
«O moja lalka! O moja lalka rozbita!»
Pod mojem oknem w ogrodzie dziewczynka szlocha.

Chodź tu! Opowiem ci bajkę: Groźna macocha
Dała przebierać królewnie kąkol od żyta...
Nie płacz! to skończy się dobrze! Rozśmiej się trocha!
To bajka. Wszystko jest bajką... Znów żal cię chwyta?

«O moja lalka! O moja lalka rozbita!»

CZEREŚNIE

W domu pachną smażone czereśnie,
Osy biją o nagrzane ściany...
W sercu wstaje zdaleka, jak we śnie,
Obraz dawno, dawno zapomniany:

Siedzę w cieniu chmielowej altany,
Jest pogodnie, radośnie i wcześnie,
Świeci złotem kociołek miedziany,
A w nim pachną smażone czereśnie.

Walcząc witką z osami złotemi,
Aby która w płyn lepki nie padła,
Patrzę w czerwień wonnego zwierciadła, —

A w niem widzę — dalekie od ziemi
Słodkich odbić różowe widziadła:
Wieczną bajkę dziecinnej alchemji.

OGNISKO

Snuje się modry dym z ogniska
I het po polu wstęgą ściele...
Czasami złoty płomyk błyska,
Błyska i kryje się nieśmiele.

W sercu głód zdrowy i wesele —
Ochota z piersi pieśnią tryska!
Szpaki furknęły z nad ścierniska...
Ziemniaki pieką się w popiele.

Wielka jesienna cisza polna
Nie budzi pustki ni tęsknoty:
Dusza dziś troskać się niezdolna,

Tyle z radością ma roboty!
Marzenie, szpaki, i dal wolna,
I ognia młody żywioł złoty.

SANIE

Tęgi, śnieżysty, radosny mróz.
Nad białą drogą anioły brzóz...
Czego płaczecie, srebrne anioły?
Świat jest wesoły, wichr jest wesoły!

Hej, lecą sanie w szalony pęd!
Z serca wywiewa żałobny smęt!
Jak szlak diamentów iskrzy się niwa:
Dal jest szczęśliwa, droga szczęśliwa!

Każdy przyklękły przydrożny krzak
Ma srebrne skrzydła, jak wielki ptak.
Hej, lećmyż społem w krysztalne światy!
Duch jest skrzydlaty, świat jest skrzydlaty!

NIEDZIELA

Chłopaki dwa z Murilla
Pod murem w słońcu leżą.
Nad nimi lot motyla
Przypomniał wiosnę świeżą.

W powietrzu wiatr rozpyla
Sny, co nad miastem bieżą:
W polach się kwiat rozchyla!
W gniazdach się skrzydła pierzą!

Nad tłumem rzesz niedzielnych,
W wiosenne strojnych bazie,
Nad rojem snów weselnych,

Z wysoka, raz po razie,
Ze strzelnych wież kościelnych
Dzwon szczęsny łka w ekstazie.

POŁUDNIE

Południe skwarne, bez żadnej chmurki
W drgających niebios mocnym lazurze.
W słońcu się grzeją żółte jaszczurki
Na białym murze.

W szafir zatoki schodzą pagórki
W spiekłych kamelij krwawej purpurze,
Szemrzą rozprysłe kropel paciórki
I pachną róże.

Skroś palm rozchwianych kwitnące drzewa
Boskie całunki słońce przesiewa
Plam złotych deszczem.

I, jak Danae, ziemia omdlewa,
Kiedy ją pieści złota ulewa
Miłosnym dreszczem.

DRZEWA

O, któż człowieczem słowem wypowiedzieć zdoła
Tej wiekuistej łaski miłościwy wiew,
Co spływa na gorączką przepalone czoła
Z wniebowziętych wierzchołków wybujałych drzew?

Któż opowie różane żywota zachwyty,
Które rozkwitła jabłoń na błękicie śni,
Albo w słońcu wiosennem dreszcz brzóz złotolity
Wokół wiotkich gałązek i wysmukłych pni?

Któż wypowie dostojność kwitnącej pogody
W rojnym brzęku harf pszczelnych dumających lip?
Pokraśniałych jarzębin dziewicze jagody,
Lub sosnowego pyłu oszalały syp?

I wielki spokój dębów, i świerków żałobę,
I kolumnowych topól podobłoczny śmig,
I wszystkich drzew, pór wszystkich radosną ozdobę,
I ich wzrostu do słońca wieczny, niemy krzyk?

O drzewa! mauzoleów przeszłości kolumny,
Z któremi się nasz żywot niewidzialnie sprzągł!
Wy, kolebki dzieciństwa i starości trumny,—
Wierne przez cały życia niewiernego ciąg!

Błogosławione bądźcie, drzewa! drzewa! drzewa!
Błogosławion wasz spokój i cichość i szum!
Oto mi waszą chwałą duch stęskniony śpiewa
I ucieka się modlić w wasz ojcowski tum.

STYCZNIOWEJ NOCY 1913 r.

Czemu szumicie, czemu szumicie, o jodły,
W tę noc śnieżystą pod dalekiemi gwiazdami?
Żeście, jak płaczki, w niebo gałęzie rozwiodły...
(O Panno Śnieżna, módl się, o módl się za nami!)
Czemu szumicie, czemu szumicie, o jodły?

Czemu wy, buki, czemu wy, dęby, zagrały
W tę noc styczniową, jakoby gromem w zamieci?
Jakie wam śnią się dawno przebrzmiałe hejnały?
Jakowyż upiór bory polskiemi dziś leci?
Czemu wy, buki, czemu wy, dęby, zagrały?

I pod tą ciszą, co gwiazdom płynie ze źrenic,
Czemu tak szlochasz, puszczo, w tę noc uśnieżoną?
Zaliś wspomniała wzięte ci pnie dla szubienic,
I tę krew całą, co się wsączyła w twe łono
Pod oną ciszą, co gwiazdom płynie ze źrenic...

I wstają echa, i biją apel we wichrze,
Trącone skrzydłem przelatującem upiora!
I jęk rozpaczy wznoszą mogiły najcichsze:
Że nasze dzisiaj jest takie same jak wczora —
Echami grają — i biją apel we wichrze!

— — — — — — — — — —

Zali ty słyszysz? zali ty słyszysz ten szum,
Co z polskiej ziemi leci,

Biedna duszo, wplątana w obcy tłum
W codziennej życia zamieci?

Zali ty czujesz? zali ty czujesz ten rytm,
O serce, troską bijące,
Którym zwą ciebie legijony widm
We święte wolności słońce?

O natęż wolę! o natęż całą twą moc,
I codzienności spłosz żmije!
A może usłyszysz—a może usłyszysz w tę noc—
Jak serce Polski bije.

— — — — — — — — —

Wejrzeć w siebie! Wejrzeć aż do dna!
I nie ukryć potem twarzy w dłoń,
Lecz, jak nurek, śmiało zstąpić w toń
Po tę perłę, która na dnie trwa.

Strząsnąć jarzmo własnej ducha niewoli,
Co zwolna wrasta w kark —
I poderwać się w lot, co wyzwoli,
I rozpostrzeć skrzydła u bark!

O, uleczmy naprzód serca nasze!
Zleczmy naprzód niemoc naszą serdeczną!
I wprzód niźli w zwycięskie pałasze
Zbrójmy ducha we wiarę konieczną!

Bowiem walka jest spowiedzią krwawą
Przed najświętszą komunją Wolności, —

I, kto wierzy, ten tylko ma prawo
Wnijść w to jutro, gdzie Ona zagości.
. . . . . .
A już idzie, a już idzie dzień,
Co, jak anioł, w grób uderzy gromami!
I otrząsnąć każe cień,
By już samo światło było z nami.

A gdy słowo zmartwychwstania powie,
Co powiedzie przez ogień — do zórz, —
Trza, by bylim gotowi! gotowi
W głębi własnych naszych serc i dusz.
. . . . . .
Szumcie tedy, szumcie głośno w zawiei,
Drzewa wierne, i wy echa — sny polskie!
Szumcie apel na dzień wielkiej nadziei,
Grajcie z wichrem, jako harfy eolskie,
Szumcie, drzewa! Szumcie głośno w zawiei!

Rytm tajemny, w sercu ziemi poczęty,
Sączcie w serca najsmętniejsze, najlichsze, —
Aż jak wasze drzewne harfy we wichrze
Tak rozgrają się w Wolności hymn święty,
Hymn tajemny, w sercu ziemi poczęty.

Wy, kolebki, szubienice i trumny,
Drzewa krzyże, święte drzewa ofiarne,
Jak macierze i jak stróże cmentarne,
Wy, przeszłości nieugięte kolumny,
Wy kolebki, szubienice i trumny, —

Grajcie, dęby! Grajcie, buki i jodły,
W noc śnieżystą, pod srebrnemi gwiazdami!
Wiekuistych suplikacyj swych modły
Wznieście chórem ponad nami i z nami,
Ojce wierne — dęby, buki i jodły.

Paryż 1913 styczeń.

WIOSNA 1912 r.

Nów miesięczny gaśnie w morzu krwi,
Ku otchłaniom śmiertelnym się zniża, —
A nad ludzkich mąk Golgotą lśni
Wywyższone, święte znamię Krzyża.

Duszo ziemi mojej, czemu drżysz?
Według wiary ich ludom się stanie...
Wywyższony nad Golgotą Krzyż
Po męczeństwie wieści Zmartwychwstanie.

. . . . . .

Zmartwychwstania słowem, syny Słowa,
Dziś was wita złożon w grobie lud.
Ciężko dźwiga się płyta grobowa,
I straż czuwa, nim zwali ją cud.

W grób rozpękły świeci jutrznia cudów,
Płynie dębów bojanowych woń,
Gorą wicie, święcą wolność ludów,
Tętni biały Wernyhory koń.

Gra pieśń wieków: «Pszczół pasiecznych roju!
Miód obiatny czas zamienić w krew!
Czynem wcielić z wieczystego zdroju
Żywe słowo — wszej niemocie wbrew!»

. . . . . .

Bracia moi! wszyscy bracia w Słowie!
Wspólny roju rozpędzonych pszczół!
Jakoż hasło Wolności wypowie,
Który — brata swą niewolą skuł!

Świat Wolności świtem prawdy gorze:
Kto z niemotą idzie w święty bój,
Musi w sobie poczuć Słowo Boże,
Musi zwalczyć — własny bezduch swój!

Ku najświętszej komunji Wolności
Wiedzie walki spowiedniczy próg.
Hostja świata w naszych ustach gości:
Żywe Słowo — znaczy przecie — Bóg.
. . . . . .

Od mórz krwawych, kędy zgasa nów,
Bije wieść: Na wiec święty narodów!
I w mogile Polski, pełnej snów,
Budzi echa odwiecznych rapsodów.

Duszo ziemi mojej, czemu drżysz?
Według wiary ich ludom się stanie.
Wywyższony nad Golgotą Krzyż
Po męczeństwie wieści Zmartwychwstanie.

Paryż 1912.

ŁAZIENKOWSKIE THEATRUM 1913 r.

Usidliły bal królewski zamkowe zwierciadła:
Czarodziejskich widm gromada w szklaną baśń zapadła
I już wiecznie krążyć będzie wśród zaklętych sal,
W coraz cichszą, w coraz bledszą, w coraz dalszą dal:—

Wspomnienia wian je wiąże.

Jedno tylko umknie czaru, zerwie złudzeń szarfy,
Zmyli skrzypki rozełkane, srebrnostrunne harfy,
Jedno tylko precz odleci ponad głębie dwie,
Wzajem siebie wracające w zwierciadlanym śnie: —

Rycerskiej pieśni książę.

Czarna maska na obliczu, pod nią usta-płomień.
To książęcy bal roztacza tęcze oszołomień,
Odbijają par girlandy zwierciadlane szkła,
Jakby żmija tęczołuska w nieskończoność szła...

Za oknem szumią drzewa.

Płyną pazie i pasterki, damy i markizy,
Drżą wachlarze, świecą szpady, śnieżą białe kryzy,
Płyną barwne korowody pląsających widm
Pod muzyki pętającej czarodziejski rytm...

Listowie wiatr rozwiewa...

Złote wino z czar się leje, dłoń się z dłonią wiąże.
Omyliło krąg taneczny czarnookie książę,—
Omyliło, wychynęło z wieńca białych rąk,
Szeptów słodkich, kwiatów wonnych, warkoczy i wstąg.

Co tobie, książę Pepi?

Zeszedł książę z sal jarzących w jesienne aleje:
Ciemnym płaszczem od ramienia bujny wiatr mu wieje,
A pod stopy liście lecą z konających drzew,
Lecą wolno, niewstrzymanie, jako łzy i krew,

Jak krwawa łza, co ślepi.

Gdzie na stawie świeci wyspa ze starym teatrem
Zbłądził książę szlakiem liści, spadających z wiatrem.
Wśród posągów zadumanych jeden żywy widz
Stanął, wsparty o podnóże marmurowych lwic,

I patrzy w duszę własną.

Duma książę. Lecą chmury poprzez księżyc blady,
Cień rzucają w głębie stawu greckie kolumnady.
Zali w nim to, w nim to samym walczą moce dwie:
Owe cienie przechodzące i ów blask na dnie?

To zalśnią się, to zgasną...

Jakiż płomień buchnął nagle u świątyni proga?
Jakiż dym się mgłą rozesnuł z greckiego trójnoga?

Jakaż Pani wstała cicha w szumie mrących drzew,
Z bladą gwiazdą, blaskiem siewną poprzez wdowi kwef?

O duszo ma! o siostro!

Płyną chmury, tętnią chmury po niebieskim sklepie,
Jak ogromne hufce zbrojne we śniegach na stepie.
Czasem księżyc je prześwietli tęczą nagłych kras,
Czasem wicher je rozszumi, jak proporców las...

Kiedyż się w moc rozpostrą?

Idą w wieczność szeregami jedne za drugiemi...
Święty Boże! święty mocny! zmiłuj się nad niemi!
Mroczą srebrną twarz miesiąca czarnych cieni grą,
Przepływają szeregami i bez skargi mrą...

A księżyc patrzy — wieczny.

Skąd ten tryton marmurowy wody stawu kłębi?
Zali centaur, zmartwychwstały z przeszłych wieków głębi?
Skąd ten rycerz konający? skąd ten biały koń?
Czyj to szyszak pochylony? czyja blada skroń?

Czyj laur i zgon waleczny?

Zatargały się osiki w śmiertelnym powiewie,
Zajęczały brzozy-płaczki, załkały modrzewie,
Zadzwoniły wody stawu w pogrzebowy dzwon, —
Jako harfy zadzwoniły na witezia zgon:

To serce Polski płacze.

Chór wciąż rośnie, olbrzymieje, ziemię z niebem wiąże
Na theatrum nocy wieszczej, w którą patrzy książę.
Pieśń na niego zewsząd płynie... Skądże ona? gdzie?
Czyli w jego piersi własnej, czyli Bóg go zwie

Na ścieże walk tułacze?

Zgiął się książę. Do ziem schylił. Kornie kajał w prochu.
Jakby słuchał w łonie ziemi zmilkłej pieśni szlochu.
Powstał wreszcie. Spłonął świtem. Ręce podniósł wzwyż.
Żądnie podniósł, jak po skrzydła,—kornie, jak po krzyż.

Słysz jego śluby, wrogu:

«Póki ciało nie opadnie, jak sztandar dziurawy!
Jako sztandar rozpostarty w święte imię Sprawy.
Aż się stanie życie moje, i miłość, i ból
Ponad Polską, jako sztandar, podarty od kul.

A cześć — zdam tylko — Bogu.»

Rozgorzały jutrznią krwawą głębokoście nieba.
Druga jutrznia u stóp księcia w stawie się koleba.
A on stoi, porzucony między głębie dwie,—
We krwi stoi, ptak rycerski, co się w słońce rwie

Do walki, znoju, chwały.

I odbiła wierna woda obraz bohatera:
Z wieszczej toni wielkie jutro w oczy mu spoziera:
Nad nim chmura, — ptak śnieżysty na pożodze stref,
A przez każdą ranę w chmurze płynie słońca krew.

Ofiarny — Orle — biały —

Warszawa 1913.

WIOSNA 1915

Wiosna! Wiosna! Czy słyszycie, bracia moi:
Zmartwychwstania dzwon błękitny w niebie buja.
Czy czujecie serce ziemi w lodów zbroi:
Alleluja! trwożnie bije, alleluja!

Na rozdrożu uskrzydlona Wolność stoi.

Ziemia nasza — jeden krzyżów las cmentarny:
Niebo nasze — łun i dymów krwawe słupy.
Dom nasz — zgliszczy gorejących stos ofiarny.
Bracia nasi — niegrzebane w polach trupy.

Na rozdrożu uskrzydlona Wolność stoi.

Gromy biją kul posiewem w piersi łanów:
Rozkopują, rozrywają ziemię żyzną.
Rośnie, rośnie pole mogił i kurhanów.
O Ojczyzno! O Ojczyzno! O Ojczyzno!

Na rozdrożu uskrzydlona Wolność stoi.

Z łoża śmierci od rubieży do rubieży
Młode życie bezlitośnie w słońcu tryska.
Biały obłok się przegląda we krwi świeżej!
Skowronkowie ośpiewują bojowiska;

Blade kwiaty wykwitają z serc żołnierzy.

Na rozdrożu, jako posąg Bożej Męki
Wznosi Wolność z krzyża zdjęte swe ramiona.
Po jej skrzydłach spływa cichy brzask jutrzenki
W bratobójczy, męczenniczy bój miljona.

Blade kwiaty wykwitają z serc żołnierzy.

Z Kainowych jęczy mroków skarga ziemi.
Ziemi naszych łez i znojów, krwi i kości, —
O tę wiosnę, co rozbłyśnie skrzydły twemi,
O Wolności! O Wolności! O Wolności!

Blade kwiaty wykwitają z serc żołnierzy.

Coraz szerzej szlak ofiarny w dal się śnieży.
Coraz hojniej krew męczeńska ziemię poi.
O czuwajmy! O czuwajmy, bracia moi,
Gdy miecz Życia w dzwon grobowych płyt uderzy.

Na rozdrożu uskrzydlona Wolność stoi.

Blade kwiaty wykwitają z serc żołnierzy.

Warszawa 1915.

LIST

do Pana Gabryela d'Annunzio,
poety,
który,
ucałowawszy szpadę bohatera,
błogosławił nią tłum
na Kapitolu.

Więc Pan, kochanek muz i lew salonów,
W chwili, co w locie losy ludów waży,
Poczuł gorącą falę krwi na twarzy
I skurcz potężny ciętych dotąd szponów,
I poczuł w sobie prawdziwego lwa,
I wzrósł w Tyrteja? i ludowi gra?

Więc Pan, w Italji klasycznym błękicie,
W słońcu, co ludzi zamienia w posągi,
Z trybuny Rzymu nad światem, jak ongi,
Słowo poezji swej przekuwa w życie
I rzuca piorun, co nad światem grzmi
Błogosławieństwem ofiarniczej krwi?!

Ave Poeta. Pocałunek szpady,
Który na ustach jest jak pieczęć krwawa,
Ryje palące, niezatarte ślady,
Któremi, płynąc, słowo wre jak lawa, —
Czystsze, jak złoto poprzez ognia chrzest,
Przez pocałunek taki — taki gest.

Czy Pan wiesz o tem, że tym jednym gestem,
Gdyś wzniósł nad tłumem szpadę bohatera,
Rzeszom, co łakną słowa, rzekłeś: «jestem».
I cud wskrzesiłeś, co groby otwiera
I trwa, i leci żywą smugą łask,
Jak błyskawicy letniej długi blask.

Ten gest twój, Panie, w dalekiej północy,
W ziemi żałobnej, co ma trzy oblicza,
By trzykroć w oczy spoglądać przemocy,
Odpłonął ogniem trwającego znicza
I zbudził echo nie łez ani skarg,
Ale piorunu, co mi rwie się z warg!

O, stokroć szczęsny, który w pełni słońca,
Podniesion pieśnią ponad wierną brać,
Jako orężny wolności obrońca
Z świętym sztandarem może dumnie stać
I słowo pieśni topić w czynu spiż
Na miecz zwycięski, lub ofiarny krzyż.

O, stokroć szczęsny, który w ogniu bitwy
Może walczącym nieść rycerny śpiew!
Zagrzewać serca pożarem modlitwy
I razem z pieśnią lać serdeczną krew,
Pnąc się na sławy nieśmiertelną perć
Po wolne życie, lub po wolną śmierć.

O, stokroć szczęsny, który mrącem okiem,
Kiedy już Sprawie pieśń i życie dał,
Widzi obmytą krwi jego potokiem
Ojczyznę w wieńcu nieśmiertelnych chwał!
I widzi braci, którzy pęta rwą!
I widzi jedną wolną ziemię swą!

Lecz biada temu... Poeto! Poeto!
Czy wiesz, co w piersi swej pioruny dławić,
Czy wiesz, co orła pieśni więzić, przeto,
By mu piór białych bratnią krwią nie skrwawić,
By nie odegrzmiał na pobudki głos
Cios bratobójczy, męczenniczy cios?!

Czy wiesz, co, stojąc w obliczu Ojczyzny,
Nie móc tchu w piersi, w oczy słońca wziąć?
Co to nie wiedzieć, gdzie chwast, gdzie plon żyzny?
I kogo sławić i kogo trza kląć?
Nawet nie wiedzieć, gdzie brat a gdzie wróg...
— O pieśni polska! milcz — na żywy Bóg!

Milcz! lub jak dotąd w skowronkowych chórach
Trzepotem skrzydeł otchłań klątwy słoń.
O zrytych sadach, o obcych mundurach,
O kwiatach mogił mdłe piosenki dzwoń, —
Lecz nie trać prawdy, która na dnie trwa.
Nie budź piorunu, — nie odsłaniaj dna.

Czas twój nie spełnion. Cicho, pieśni polska!
Ty, którą czuję ponad sobą wkrąg
Tak rozedrganą jak harfa eolska,
I czekającą poświęconych rąk...
Nie drżyj jak serce, kiedy w grobu cieśń
Wleci z wichrami wolnych ludów pieśń.

Jak Magdalena przy Chrystusa grobie
Czekaj, nim spłonie trzeciej jutrzni pas.
Dziś same mroki nad tobą i w tobie...
Jeszcze straż czuwa, jeszcze nie pękł głaz...
Ale nad światem zbawczej męki krzyż
Już zmartwychwstanie wieści... Czego drżysz?

«Wierzę, iż ludy lecą wspólnym szlakiem
W słońce, w kształt długich żórawianych szarf»...
Wierzę, iż stadom jest przewodnim ptakiem,
Czyj zaśpiew hymnem Derwidowych harf
Odegrzmi, w grobach budząc życia śpiew,
I drogę w słońce wskazując — przez krew.

Wierzę,. iż każdy żywy zaśpiew ducha
Jest jak potężny meteoru lot,
Co snopem światła w ciemności wybucha,
Znacząc gościniec dla niebieskich rot, —
Co idą długo w jego jasny pas,
Choć zaśpiew przebrzmiał, i meteor zgasł.

Poeto włoski, ty, wybrańcze losu,
Jak orzeł w słońcu na błękitów tle!
Ojczyzna moja, — ta harfa bez głosu, —
Dreszcz swój płomienny odzewem ci śle,
A na krwi morze, w dział wichrowy świst,
Jak liść laurowy, ja rzucam ten list.

W liście tym, Panie, niosę pokłon tobie,
Skroś obcość mowy i bagnetów mur,
Za hymn, co wzleciał w tej posępnej dobie
I serca w wolny rozkołysał chór!
Za dech sztandarów, i za laurów szum,
I miecz, co w słońcu błogosławi tłum.

A ty w nim uczcij niemą pieśń mej ziemi,
Która z pod ognia, żelaza i krwi
Nie ulgi błaga ustami drżącemi,
Ale ofiarę zjednoczoną śni!
Pieśń, którą rycerz, poeta i bard
Niech czyta z własnej duszy, nie z tych kart.

A przeczytawszy tak, niech ją ostawi
W sercu, jak echo zapomnianych lir, —
A gdy popłynie z łańcuchem żórawi,
Niech mu zajęczy jej wysoki skwir
I, jako hejnał, zbudzi duchów wiec.
— Tyle ci tylko, Włochu, mogłam rzec... —

Warszawa 1915, maj.

DWURONDY

HYMN

Szeroki wiatr stepowy
Przelata ulicami.
Niewymownemi słowy
Chcę się podzielić z wami!

Sztandaru skrzydło krwawe
Do lotu w słońcu bije.
Żar co się na dnie kryje
Wybuchnął w hymnu lawę!

Pieśń bije mi do głowy,
I serce w piersiach gra mi.
Szeroki wiatr stepowy
Przelata ulicami.

Dział mrocznych długie szyje
Pod słońcem lśnią złotawe.
Sztandaru skrzydło krwawe
Do lotu w słońcu bije.

Poczułam nad barkami
Husarski chrzęst orłowy.
Już oczu łza nie plami!
Już z ducha rwę okowy!

Spragnione serce pije
Potęgę, moc i sławę.
Za Sprawę — hej! Za Sprawę!
Duch żyje! żyje! żyje!

Rozwinął wiatr stepowy
Sztandaru skrzydło krwawe.

SZUBIENICA

Aleją kwietnych kasztanów,
Wznoszących Panu świeczniki,
Płynie wśród kurzu tumanów
Lament żołnierstwa dziki.

Na rynku szubienica
W wiosennem słońcu tonie.
Miasteczko w bzów koronie...
Powietrze woń przesyca...

Płyną tupoty i krzyki
Świsty i jęk tarabanów
Aleją kwietnych kasztanów,
Wznoszących Panu świeczniki.

Żołnierstwem gra ulica:
Armaty, ludzie, konie.
Na rynku szubienica
W wiosennem słońcu tonie.

W zieloność ozimych łanów,
Z wichrem złowieszczej muzyki,
Idą mołojce-zbójniki
Hen — do dalekich kurhanów...

Już przeszli. Okiennica
Uchyla się w balkonie...
Ktoś wzniósł ku oczom dłonie
I blade słoni lica.

Wśród kwietnych śni kasztanów
Na rynku szubienica.

POCISK

Kościelny złoty mrok, i grzmiący z dali
Ryk dział, potężny w naw głębokim zmroczu.
W ołtarzu Chrystus. Tam jeszcze się pali
Wieczysta lampka, zgubiona dla oczu.

W dymach, jak stado zdradzieckich szakali,
Pną się żołdacy po ołtarza zboczu
Ku złotym sercom i biczom korali
Zwisłym od krzyża w wotywnym warkoczu.

Lecz nagły piorun roztrąca ich łupy
Zabłąkanego pocisku płomieniem;
Dreszcz grozy wstrząsa strop dzierżące słupy;

A Chrystus z krzyża strzaskanem ramieniem
Przygarnia krwawe świętokradców trupy
Nagłem, litosnem, wiecznem uściśnieniem.

MOGIŁA

Jedna bratnia Kainowa mogiła
Niegdyś w krwi, dziś w trawie po kolana —
Wierzba na nią splot warkoczy spuściła;
Polni ptacy jej śpiewają co rana.

Wstaje nad nią kraśna zorza rumiana:
Zali krew to, którąś, ziemio, wypiła?
Wstaje noc, gwiazd potokiem odziana.
Zali snów tych gorzka głębia i siła?

Gdzież są one? Gdzie te klęski i chwały?
Gdzie serc ciosy, śmiertelniejsze niż szable
Piersiom, co dziś tobą, ziemio, się stały?

Cisza święta... Chmur wysokie korable...
Kwiaty pachną... Motyl lata w nich biały...
— O Kainy, przerodzone na Able. —

WYCHODŹCY

Henrykostwu Toeplitzom

Z pól, które skryły Kainowe dymy,
Z chat, które w popiół obrócił cios wroga,
Z ziemi, nad którą zgasło oko Boga,
Z piekła, gdzie walczą w chaosie olbrzymy, —
Szli na Golgoty bezkresnej rozpacze
Heloci wojny, skazańce tułacze.

Jakoż ich śpiewać? kiedy dziś, w tej chwili,
Gdy się w mem sercu rodzi pieśni słowo,
Oni kielicha męki nie dopili
I idą ciągle swą drogą krzyżową,
Jeno wciąż mniejszą, topniejącą zgrają...
I gdy ja piszę, to oni konają.

Trzebaby we łzach tych umoczyć pióro!
Trzebaby je w sercach krwi ubroczyć tętnem,
By męce ludu stworzyć pieśń, przed którą
Światby się wzdrygnął, jak przed hańby piętnem!
Pieśń nieśmiertelną, że w ten ból wejrzała,
Jak żona Lota, w posąg łez stężała.

Lecz jakoż śpiewać zatracenia pean?
Jakoż im pieśnią mącić śmierci ciszę,
Gdy Bóg im sam pieśń nieśmiertelną pisze
Grobami, które przez śnieżny ocean
Ciągną się rzędy bratniemi przez śniegi,
Jak czarnych liter żałobne szeregi?...

Starce i dzieci, niewiasty ciężarne,
Męże jak dęby i słabe kaleki, —
Rzesze bezdomne, skazańcze, ofiarne,
Płyną — jak głuche, niewstrzymane rzeki,
W których polskiego ludu barwna krasa
W śnieżnej zawiei bezsilnie zagasa.

Nędza się z nimi wlecze w smętnym ryku
Wiernej, ginącej po drodze chudoby,
I tak ich goni śmierć po mogilniku,
Gdzie sieją tylko bezimienne groby,
I gdzie łzą czasem błyśnie napis świeży:
«Ostatni syn mój», lub «Tatuś tu leży».

Napisy takie, dziecinnie kreślone;
Krzyże, z patyczków dwóch związanych z sobą;
A dalej jeszcze trupy niegrzebione,
Co już nie miały być komu żałobą
I tak zostały, jak gońce zarazy,
Jako pieczęcie i jak drogowskazy; —

I ci, co dalej idą za tym śladem
Podobni własnej obłąkanej trzodzie,
Z kraczących kruków nad głowami stadem,
W takim opornym, tęskniącym pochodzie,
Że gdy upada ktoś martwy w szeregu,
Rzekłbyś, że ucho przykłada do śniegu,

Poto, by słuchać, czy jeszcze nie leci
Głos jakiś... jakieś wołanie z Ojczyzny...
Czy zabłąkanym w tej groźnej zamieci
Nie prześle echa tamten zagon żyzny,
Piastowski zagon, co ostał daleko,
Za siódmą górą ciał, siódmą krwi rzeką...

Wszystko to taki szlak tajemny splata,
Jak szlak żórawi przez morze z wyraju.
I będzie kiedyś ze wszystkich dróg świata
Wiódł rzesze polskie na gniazda do kraju.
Ale cóż o tem wiedzą te mogiły,
Które przez wieczność tu będą tęskniły?!

O Boże! jakie ty poślesz anioły,
By pilnowały one bezimieńce?
Jakie im gwiazdy zapalisz nad czoły?
Jakiej pamięci każesz złożyć wieńce
Tym, co nie znali nic, prócz samej kary —
Mroku bezwiednej, najsroższej ofiary.

O Boże ojców! O Panie nad Pany!
Usłysz te nieme grobów suplikacje!
Odczytaj pean przyszłości, pisany
Przez te straszliwe męki polskiej stacje,—
I ogłoś Słowo Życia w nich zawarte!
Ogłoś je, Panie, — och — i odwróć kartę...

Charków, 1916.

KRZYWDA

W Rosji głębokiej, och, takiej głębokiej,
Jak jest bezdenna głębina tęsknoty, —
W ranek niedzielny, słońcem wiosny złoty
Przed gankiem ciche usłyszałam kroki.

W opadłym z topól, wonnym, srebrnym puchu
Zastukał sucho starczy kij podróżny,
A głos, co dziwne echa zbudził w duchu,
Obcem mię słowem poprosił jałmużny.

Przede mną, w chusty wieśniacze ubrana,
Stała żebraczka: niby skiba roli,
Pługiem lat męki tak długo orana,
Że dzisiaj mówić zda się: już nie boli.

A, gdy szukałam w sakiewce wygnańca,
Nagle, jak struna, co w serce uderza,
Zaszeleściały paciorki różańca
I święte słowa polskiego pacierza.

«Wy Polka — matko? Wy dawno z ojczyzny?»
Lecz ona, zda się, nie słysząc mej mowy,
Szepce, od ziarn swych nie podnosząc głowy:
«Ja prawosławna, ja ruska — z Chełmszczyzny.»

Jak gdyby czarny zagon polskiej ziemi
Jęknął przede mną w przeraźliwej skardze,
Taka głąb bólu, zorzami krwawemi
Błysła mi w kłamstwie — prawdą na jej wardze.

I w złotem słońcu radosnego kwietnia,
Z obcego słowa ułudą daremną,
Śmiertelna męka i krzywda stuletnia
Nagle, jak upiór, stanęła przede mną.

Topole pachną kadzidłem cerkiewnem,
I w sercu cicho krwawi rana dawna,
Gdy ona szepce swoim głosem śpiewnym:
«Ja ruska, pani — och — ja prawosławna.»

O, co przeważy gwiezdną szalę Boga:
Czy to Piotrowe zaparcie się w słowie,
Czy ta modlitwa bezwiedna, a droga,
Zrośnięta z życiem, jak sen i jak zdrowie?

Piersi rozrywa ptak ślepej tęsknoty,
I sam ruch ramion na zachód je pręży.
Ojczyzny mojej archaniele złoty,
Ty wiesz jedyny, — ty wiesz, — co zwycięży.

Charków, 1916.

STROFY

* * *

Chociaż nas od was dzieli
Dział i bagnetów mur,
My czuli, my wiedzieli
Serc waszych żywy chór!

My wiemy, my czujemy
Co w waszych duszach gra!
Rwie nas wasz poryw niemy,
Pali snów waszych skra!

Dreszcz każdy zmartwychwstania
Od sarkofagu Tatr
Zwycięsko nam przygania
Zachodni, wolny wiatr.

* * *

W ogniu, gdzie wierna brać,
Z sztandarem wolnych stać!
Mieć w sercu żar, a w ustach śpiew,
Co w słońce gna — przez krew!

W ogniu, gdzie wierna brać,
Krew z pieśnią z piersi lać!
I paść, na Sprawy święty zew
Oddawszy śpiew i krew.

* * *

O skwitnijcie, czarne krzyże cmentarne!
O skwitnijcie wiśniowemi sadami!
Czyż nie dosyć serca, ległe pod wami,
Krwią serdeczną was poiły ofiarne?
O skwitnijcie, czarne krzyże cmentarne!

O skwitnijcie! O wydajcie owoce!
Czyż nie dosyć łzy do stóp wam się lały
Na radości kraśny owoc dojrzały,
Co nasyci ciężkie głody sieroce?
O skwitnijcie! O wydajcie owoce!

* * *

Ten sam kwiatowy sen,
Co twej radości kwitł,
Po drogich grobach, hen,
Wśród zielnych buja kit.

Skąd śmiech, coć w sercu drwi,
I łza, coć mroczy świat?
Czemu, wyrosły z krwi,
Mniej pięknym ma być kwiat?

* * *

O, kolorowy, upiorny ułanie!
Zali ja jeszcze dziś mam widzieć ciebie
Tu, na krwią bratnią przepojonej glebie,
Na kainowym, jęczącym kurhanie?

Zali tu jeszcze, gdzie wstaje z trzew ziemi
Skarga rozpaczy o litości Boskiej,
Twój duch tęczowy, radosny, beztroski
Ma pląsać grobom ogniami błędnemi?!

* * *

Skąd powracasz? skąd powracasz, o Wolności?
Poprzez jakich dróg ciernistych nieukoje,
Poprzez jakie krwawe znoje, krwawe zdroje,
Broczącemi biegłaś stopy do twych włości?...
Z krzyża zdjęte, umęczone skrzydła twoje!

O Wolności! błyśnij mieczem archanioła!
Powiej laurem nad ofiarną męką ziemi, —
A pustynie zbożem skwitną dookoła,
A las krzyżów w sad owocny się rozplemi,
A duch Boży opromieni ludzkie czoła!

* * *

Patrz, serce! Hostja świata,
Słońce, zaszło za wzgórze.
Czy ta chata w purpurze —
To — Betlejemska chata? —

Nie, serce! To nie płonie
Zbawienia pożar złoty.
To szlak twojej tęsknoty:
Polska leży w tej stronie.

* * *

Ciche szczęście, najlepsze na ziemi,
Idzie w słońcu drogami polnemi
I litosnym się śmieje uśmiechem
Nad człowieczem cierpieniem i grzechem.

Ciche szczęście, najlepsze na ziemi!
Czyś ty nie szło drogami błędnemi?
Tu są pola pod klęską i gniewem,
Kul posiane śmiertelnym posiewem.

Ciche szczęście, najlepsze na ziemi!
O, pójdź w słońcu drogami krwawemi,
I na oczy krwią ślepe, w udręce,
Kładnij kwietne, słoneczne twe ręce!

SUPLIKACJE

Świecący Krzyża gwiaździstemi rany,
O Jezu mocny, o Panie nad Pany,
Do Ciebie idziem przez krwawe kurhany
Ze wszystkich stron!

Do Ciebie idziem, gwiezdnego Dziedzica!
O wyjrzyj oknem złotego księżyca,
Usłysz, jak wzywa Cię pieśń przodownica:
Plon niesiem, plon.

Usłysz, Dziedzicu niebieskiego dwora!
Jakoś słuchiwał, gdy żniw była pora,
I dzwonił w ciszy letniego wieczora
Anielski dzwon...

I weź, jak niegdyś wian brałeś dożynny,
Inną daninę, i pieśń, i plon inny; —
Nasz wian cierniowy, w krwi skąpan niewinnej:
Plon niesiem, plon!

Idziem do Ciebie, żniwiarki niedoli,
Z gorzkiej, przesiąkłej męczeńską krwią roli,
I garniem żniwo, co krwawi i boli, —
Płód własnych łon.

I niesiem tobie, matki boleściwe,
Żywą ofiarę — synaczki nieżywe, —
Jak kłosy padłe pokotem na niwę:
Plon niesiem, plon.

O Jezu mocny! O Jezu nad gwiazdami!
O chwała Tobie! dziś jak i przed wiekami!
O Zbawicielu! O zmiłuj się nad nami!

Opuść, Panie Jezu, niebieskie pokoje!
W księżycowe okno zwróć oblicze Twoje!
Matkom macierz, przodownica u wrót Twoich stoję:
Polska, o Chryste!

Idą za mną do Cię po śmiertelnych pustach
W czarnych kwefach wdowich i wieśniaczych chustach
Matki z trojgiem mieczów w sercu, z modlitwą na ustach:
Polska, o Chryste!

Któram stała niegdyś na piastowskich niwach
W złotej jutrzni słońca, w rośnych zboża grzywach, —
O poranku krasawica we słonecznych żniwach:
Polska, o Chryste!

Com świeciła w mieczach skrzydlatej husarji,
W srebrnych piórach orlich i ryngrafach Marji, —
Przez dzień cały bojownica Odkupień Kalwarji:
Polska, o Chryste!

Com krzyż wzięła na się i cierniowe wieńce
Na bolesne czoło i zakute ręce, —
W wieczór krwawy niewolnica w żałobnej udręce:
Polska, o Chryste!

Którą dziś, o Panie, w noc Twojego gniewu,
Pożywszy już z mocy i niemocy siewu, —
Zmartwychwstaję — męczennica, z łez i krwi zalewu:
Polska, o Chryste,

Jezu mocny! Jezu nad gwiazdami!
Chwała Tobie! Dziś jak przed wiekami!
Zbawicielu! zmiłuj się nad nami!

Tyś nie dopuścił, Panie, ofiary Abrahama,
A synów mych ofiarę jać święcę co dnia sama,
I wciąż zamknięta dla mnie żywota wieczna brama!
Kyrie Elejson.

I idzie syn na ojca, i idzie brat na brata,
A dłoń Twa niepojęta w tajemnej przęśli świata
Kainów ból i Ablów w męczeństwo jedno splata!
Chryste Elejson.

O wyjrzyj, Jezu Panie, ze złotych szyb miesiąca!
To nie nawała burzy o piersi borów trąca
To światem wojna idzie, jak lawa gorejąca!
Kyrie Elejson.

Nie ciche mgły wieczorne nad wonnych łąk pościelą
Zasnuły wsie i miasta marzenia senną bielą,
Lecz dymy Kainowe w śmiertelny ścież się ścielą.
Chryste Elejson.

I cała ziemia nasza to jeden las cmentarny.
I cała ziemia nasza to jeden stos pożarny.
I cała ziemia nasza to jeden wzlot ofiarny.
Chryste Elejson.

My, matki, Cię błagamy, usłysz nas, Jezu Panie!
Tyleśmy łez wylały na czarnych krzyżów łanie!
Niech skwitną czarne krzyże w Żywota Winobranie!
Chryste Elejson.

Jezu mocny! Jezu nad gwiazdami!
Chwała Tobie! Dziś jak przed wiekami!
Zbawicielu! Zmiłuj się nad nami!

Nie modlim się do Ciebie o ulgę naszych mąk,
Jeno byś cierń czół naszych i gwoździe naszych rąk
Z tajnicą Zmartwychwstania na wieki wieków sprzągł.
Usłysz nas!

Dla synów, którzy giną, dla płodu naszych łon,
Błagamy o ofiarny, o święty, twórczy zgon!
Błagamy, abyś przyjął narodu straszny plon!
Uświęć nas!

Abyśmy nie czekali jałmużny ludzkich łask.
Abyśmy skroń zakuli w własnego męstwa kask.
Abyśmy oczy wznieśli w Twojej potęgi blask.
Ukrzep nas!

Abyśmy się oparli o twardy ojców grób
I nie ugięli ducha pod jarzmem żadnych prób,
Jeno go pokłonili do Twoich świętych stóp.
Podnieś nas!

O «prosty wzlot ofiarny». O żywą wiarę wiar,
O niewygasły w męce gwiaździsty ducha żar,
Błagamy Ciebie, Panie, w tę noc posępnych kar.
Oświeć nas!

Abyś nam zwolić raczył pod płytą twardych zbrój
Wykrzesać jutrznię świata — Wolności święty zdrój —
Jakoś przyrzekał ludom w dzień kalwaryjski Twój.
Wskrześnij w nas!

Jezu mocny! Jezu nad gwiazdami!
Chwała Tobie! Dziś jak przed wiekami!
Zbawicielu! Zmiłuj się nad nami!

O skłoń się ku nam, Gwiezdny Hospodynie!
Z ziemi, co walczy, i cierpi, i ginie,
Przez las krzyżowy i zgliszcza pustynie,
Jak grozy dzwon, —

Od pól, gdzie kosi krwawej śmierci kosa,
W łzach i krwi ślepa, miljonowo-głosa,
Łka pieśń dożynna pod Twoje niebiosa:
Plon niesiem, plon.

Zbierz plon ten, Chryste! Kłos zgarnij straszliwy!
Przyjm kłosy zżęte z ofiarniczej niwy!
I daj nam żywot, Zbawicielu żywy,
Przez własny zgon!
Jakoś rzekł z krzyża, ginąc opuszczony,
Że żadnej duszy nie ujmiesz obrony,
Tak wskrześ nas dzisiaj przez te wszystkie zgony!
Plon niesiem, plon.

Krwawo zagasa wielki wieczór ziemi.
Gwiazdy się łzawią oczyma złotemi,
I świat dokoła się mroczy i ciemi
Ze wszystkich stron...
O, wyjrzyj oknem pełnego miesiąca,
Gdy pieśń dożynna, u wrót Twych klęcząca,
Szlocha ofiarą bez końca, bez końca:
Plon niesiem, plon!

O Jezu mocny! O Jezu nad gwiazdami!
O chwała Tobie! Dziś jak i przed wiekami!
O Zbawicielu! O zmiłuj się nad nami!

Charków, 1916.

ARACHNE POLSKA

O biada tobie! biada,
Żywota dobra swachno,
Tkaczko Arachno,
Wśród polskich serc snująca
Nadziei nić bez końca —
Zazdrosnym bogom wbrew!

Jakoż ci tęcze wić?
Jakoż ci błękit szyć?
Haftować snów gwiaździce?
Nad tobą pomsty gniew!

Słyszysz chód cichy, szparki?
Ktoś się ku tobie skrada...
To idą — Parki —
Posępne trzy siostrzyce,
Siejące lęk.
Cyt! Cyt!
Arachno ty żałosna!

Eheu! — nożyce. —
Zgrzyt.
Jęk.
Szloch.

Czy jękły twoje krosna
Czy perły się rozprysły?
Czy przędze się zerwały?

Och!
Z pracy twojej chwały
Strzępy zwisły.
Perły cieką, jak łzy
Skroś rany
Trzy.
Twój sztandar, — sztandar święty,
Stargany
I pocięty.

A ty? A ty?

Wszak twoje ręce tkały
Ten żywy cud!
Przez twoje palce biegł
Strumień żywota!
Twórczy był każdy ścieg,
Każda nić złota,
Wplatana w orle pióra —
Biel i purpura!
Zwycięski, biały
Ptak chwały
Z krwawych już rwał się pól:
Duch — Król.

Skazano-li twe sny
Na Syzyfowy trud?

A ty? A ty?

Odeszły gońce niedoli.
A śród dzwoniących ech
Słyszysz szyderczy śmiech
Wichrowych zgraj:
«Buntowna bogów woli
Na krwawy łup niedoli,
Śmiertelna — tkaj!»
— — — — — — —
Arachne polska! bolesna twórczyni
Boskiego dzieła!
Trzykroć już zmogłaś potęgę bogini
Niedoli
I jużeś trzykroć len błękitny zżęła
Z męczeńskiej roli.

A oto teraz znów
W głębokiej grocie snów
Pochylasz ponad krosna
Zalaną łzami twarz
I tkasz,
A gwiazda twa żałosna
Przez wdowi błyska kwef.

Ścichł ledwie nożyc zgrzyt,
I słychać chichot Park,

I rzeką płynie krew
U twoich nóg, —
A tobie skrzydła już rosną u bark,
I tworzysz znów — jak Bóg...

Nigdy nie było tyle męczeńskich klejnotów
Na twej tkaninie.
Takich ponurych ogni w krwi rubinie
I takich ciężkich pereł ludzkich łez.
Nigdy nie było tyle cierniowych uplotów,
I tyle wzlotów,
I ogni, i chmur, —
Nigdy się tak potężny, straszny nie tkał wzór
Na dzieła kres.

Jak trójca nocnych sów
Przyległy zlękłe Parki
I patrzą w jasny, żarki,
Zwycięski sztandar snów —
I drżą.

Cierniowe kwiaty pachną,
Gra harfa dusz eolska —
I budzi się ptak słońca pod twórczą dłonią twą,
Arachno
Polska!

— — — — — — — — — —

Snów sztandarze! Orle biały,
Trzykroć wskrzeszon z piekieł dna!

Oto znów dzień krwi i chwały
Twoje skrzydła w słońce gna.

Nad Golgoty krwawe łany
Wołasz na nas, święty wróż:
Powstań, Polsko! Krusz kajdany!
Świętej Sprawie! Sprawie służ!

Hej, kto Polak, w górę serca!
Na słoneczny orła zew!
Wbrew niedoli, co uśmierca,
Losom, Parkom, piekłom wbrew!

— — — — — — —

Charków, 1916.

WIĆ

Przychodzę do was, o moi rówieśni,
W chwili, co dzwonem budzi wsie i miasta;
Z płonącą wicią i pobudką pieśni
Potężnej, przeto, że wraz z życiem wzrasta, —
Aby wam w serca jej oczyma wglądać
I od was samych — samych was zażądać.

Anioł przyszłości z snu mię co dnia budzi
I, wciąż rosnące dnia wskazując dzieje,
Śród pionków losu każe szukać ludzi —
Po iskrze, która w sumieniach goreje;
I każe zbierać te iskry tlejące
Na ołtarz jutra — na zbawienia słońce.

Śród krwawej nocy i obłędu świata
Z pieśnią mą do was przychodzę, Polacy!
Ledwo wyrwani z krwawej garści kata,
Jak błędni, z klatki wypuszczeni ptacy...
Przychodzę wołać z przyszłości aniołem,
Byście nad mroki jasnem wzrośli czołem!

Piekło dokoła jako gejzer bije,
Leje się morzem z krwi i mroków litem,
Ani zeń modły wybawią niczyje, —
Trzeba wzrość nad nie prometejskim szczytem,

By wydrzeć niebu skrzydlate płomienie
Na zmartwychwstanie i na odrodzenie.

Naszej Ojczyzny zmartwychwstalne stropy
Sami-li dźwignąć możemy przed światem,
A nie kramarski Kongres Europy
Sklei je z strzępów ręczonych traktatem.
Więc, gdy do dzieła nie staniem niezłomni,
To «dziś» — nas przeklnie, a — «jutro» zapomni.

Przychodzę do was z boskiej prawdy wieścią,
Do was, ginących wśród krwawych bezdroży:
Że waszą mocą — i krwią — i boleścią —
— Polska się tworzy.
Żeście nie garstka męczeńskich nędzarzy,
Lecz hufiec duchów na przyszłości straży.

Nie z grozy pięści, z dyplomacji brudów
Nasze się gniazdo jako z błota zlepi;
Nie będziem pawiem ni papugą ludów:
Miłość nas wzmoże, oświeci, ukrzepi.
Z ofiar my własnych stworzym Polskę nową,
Jako drabinę w niebo Jakóbową.

Młot, co kształt życia w twórczej kował ręce,
Pług, ziarn piastowskich wskrzeszający plony,
Miecz, w bohaterskiej spłoniony jutrzence,
Duch, co przed Bogiem cierpiał za miljony, —
Każdy czyn polski, miłowaniem żyzny,
Będzie anielskim szczeblem tej Ojczyzny.

I przy tej Polsce będziem wszyscy stali
Ognia miłości niezwalczonym wałem!
Aż się w nim hańba naszych dni przepali
I świat rozpłonie jutra ideałem!
Aż padnie bezduch — nasz najcięższy wróg.
Tak nam dopomóż Bóg.

Charkow, 1917.

PRZYPISY [AUTORKI]

Do *Dywagacyj, Lamentów, Z Wyspy Słońca i Śmierci:*

— Korsyka w poezji miejscowej zwana jest często Wyspą Słońca i Śmierci.

— U wstępu zatoki Ajaccio leżą skały, zwane Krwawemi Wyspami, o które rozbija się gwałtowność fali szerokiego morza, pozostawiając zatokę w zupełnej ciszy wodnej. Tutaj podobno pragnął być pochowanym Hieronim Bonaparte.

— Na Korsyce każda rodzina utrzymuje własną kaplicę grobową, tak, że cmentarz istnieje tylko dla najbiedniejszych. W Ajaccio poza miastem nad brzegiem morza ciągną się szeregiem wille umarłych, z wielkim pietyzmem utrzymywane.

— Żałoba po najbliższych tradycyjnie jest noszona na Korsyce lat dziesięć.

— Na Korsyce do dziś dnia zachował się zwyczaj opłakiwania zmarłych. W pomniejszych miasteczkach i osadach do niedawna trup wynoszonym bywał w otwartej trumnie na plac publiczny i tam „lamentami" żegnany przez kobiety, które już dalej na cmentarz za zwłokami nie idą. Istnieją też zawodowe płaczki „voceratrice", a raczej dziedziczne rody płaczek, obdarzone niezwykłym darem poetyckim improwizacyjnym. Lamenty tworzą bogaty dział poezji ludowej, niestety mało zbadany, a ginący, bo tylko w ustnej tradycji przechowywany. Dużą i najciekawszą grupę stanowią lamenty nad ofiarami morderstwa, żądające krwi za krew, opiewa-

jące święte prawo „Vendetty“ i dolę „mściwców“, kryjących się przed prawem w „maquis“, — nieprzebyte wrzosowiska korsykańskie.

— Jeden ze szczytów korsykańskich Monte d'Oro, podobnie do naszego rycerza Giewontu, ma zarys kształtu uśpionej dziewicy i zwany jest przez ludność miejscową „Dziewicą Złotego Wirchu“.

— *Incroyables*, klub nadający modę towarzystwu francuskiemu za Dyrektorjatu.

Do *Styczniowej Nocy:*

— Wiersz czytany w Paryżu na uroczystym wieczorze 22 stycznia 1912 r.

Do *Wiosny 1912:*

— Wiersz pisany podczas pierwszej bałkańskiej, bułgaro i serbo-tureckiej wojny.

Do *Łazienkowskiego Theatrum:*

— W setną rocznicę śmieci ks. Józefa Poniatowskiego.

Do *Listu:*

— Wiersz pisany w maju 1915 r. w Warszawie, w chwili, kiedy umęczone oczy polskie w zawierusze światowej witały wszędzie każdy błysk wolnego ducha.

Do *Arachne Polskiej:*

— Arachne, według mitologji greckiej, tkaczka tak biegła, że wyzwała boginię do współzawodnictwa w piękności swej pracy.

A. B. C.
POLAKA PIELGRZYMA

Obyż ta drobna moja księga,
«Pielgrzymie polskie a. b. c.»,
Mogła być sercom jak przysięga:
To zrobić mogę, muszę, chcę.

Ani nas skusi zagon żyzny,
Ani nas cudze słowo zmami:
Bo my powrócim do Ojczyzny,
By ostać w Polsce — Polakami.

Będziem, jak one ptaki Boże,
Tęskniące długo na wyraju,
Ponad łez morze i krwi morze
Wracać na gniazda swe — do Kraju.

Choć był daleki szlak odlotu,
Kędyśmy rzeszą szli tułaczą,
Ale nie zmylim dróg powrotu,
Bo je nam bratnie krzyże znaczą.

Ćmi nam się w oczach szlak wygnania
Świeżemi groby — i — dawnemi:
Krzyżowe Stacje z Polskiej ziemi
Przez męki wiek — do Zmartwychwstania.

Dziedzino nasza praojcowa,
Piastowska chato, czarna rolo,
Niech się w nas pamięć twoja chowa,
Jako talizman przed złą dolą!

Echo twe w sercu niech nam gada
Świętą pamięcią dawnych czasów: —
Szumami polskich zbóż i lasów,
Kiedy szeroki wiatr w nie wpada.

Fala tułactwa, co nas niesie,
Nie zdoła rozbić naszej łodzi;
Bo widzim gwiazdę na bezkresie,
Która nas wiedzie wśród powodzi.

Gwiazda, dla której nas nie straszą
Ni wir zdradliwy, ni zawieja,—
To święta miłość i nadzieja,
I mocna wiara w Polskę naszą.

Hasło — to powrót do Ojczyzny!
Hasło — to ciągła dla Niej praca!
Niech każdy skarbi zasiew żyzny
I z dobrym siewem w dom powraca.

Iskierkę każdą, która płonie
Wśród polskich serc w złych dróg kolei,
W pieczołowite ujmiem dłonie,
By nie zagasła wśród zawiei.

Jeślibym zaprzeć miał się Ciebie,
O polska ziemio, wiaro, mowo,—
Zaprzyjże mnie się, Boże w niebie,
I Marjo, polskich serc Królowo!

Krew moich braci, krew ofiarna,
Którą im rzeką trza przelewać, —
Użyźnia rolę pod te ziarna,
Które ja będę w brózdy wsiewać.

Leje się krew pod siewy moje,
A ja tej miałbym zrzec się roli?
I moje własne krwawe znoje
Oddać pod żniwo cudzej doli?

Łaska mię szczęsna dziś zetknęła,
Z nieznaną bracią trzech zaborów:
Wiem, że jednego pragniem dzieła, —
Z różnego siewu — jednych zbiorów.

Marjo, Panienko Częstochowska,
Ty, co masz twarz jak polska gleba, —
Wróć nam Ojczyznę, Matko Boska,
Bo nam jej dziś jak tchu potrzeba.

Nie daj nam upaść od pokusy,
Co wpełza w lud niezgody żmiją:
Niechaj się wszystkie złe zakusy
O polskiej woli moc rozbiją.

Od tej najgorszej broń nas plamy,
Byśmy się mieli rozpaść w sobie,
I tak rozsypać na odłamy,
Jak próchniejące ciało w grobie.

Przecież wbrew doli, co uśmierca,
I w czarny grób przemocą tłoczy,
Nam żywo, zgodnie biją serca!
We wspólną zorzę patrzą oczy!

Razem przetrwajmy! Wszystkie stany!
Braterskich piersi żywym murem!
Aby był cały lud zbratany
Hymnu Wolności świętym chórem.

Szczęśliwsi my od tamtych braci,
Których już wezwał los do czynów
W ofierze Ablów i Kainów,
Którą — Ojczyzną niech im spłaci.

Ślepotę z ócz gdy każdy zgarnie
I stanie, gotów do ofiary,
Tedy mu czyn nie zginie marnie,
Jeno rozpłonie w święte żary.

Tak nam dopomóż, Jezu Chryste,
Jako i my w godzinę naszą
Ofiarę ziścim pełną czaszą
Na Twe Królestwo wiekuiste.

Ufajmy wszyscy, a te czyny,
Do których jutro nas powoła,
Rozbłysną mieczem archanioła,
We świt czekany, — trójjedyny!

WY, Xięgi mojej czytelnicy!
Niechaj z was każdy moje słowa
W głąb swego serca tajnie schowa
I czasem wspomni wśród tęsknicy.

Ziemi ojczystej dech daleki
Niechaj w was spłynie z słowy memi,
Wionąc w spieczone łzą powieki,
Jako wiatr polny z polskiej ziemi.

Żegnane łzami ciemne bory
Zielone łąki, złote łany,
Niech z słów wam tworzą Kraj kochany
Aż do radosnej witań pory.

Źle bez Ojczyzny! Źle nam wszędzie!
Lecz trwajmy dla Niej, dążmy do Niej!
Niechaj nam Ona w sercach będzie,
A człek rozpaczy się uchroni.

Z TEKI POŚMIERTNEJ

(1913—1918)

SIEJBA GROBÓW

Wśród wszystkich świata tułaczych dróg,
Jakoby gwiazdy bezliczne,
Polskie mogiły rozsiał Bóg —
Ofiarne stołbce graniczne.

Wielka grobami pisana pieśń
Śpi w pustkach morza i lądu,
Aż z niej posępną wieków pleśń
Odmiecie wicher sądu.

A wtedy Pan odczyta sam
Tę wielką pieśń tęsknoty,
I każda głoska z mogilnych bram
Wzleci, jak anioł złoty.

Wyskrzydli się przelana krew,
Ofiarnym duchem żywa —
— Bo niema śmierci — jest tylko siew
Na święte jutra żniwa.

Lecz teraz śpi, lecz teraz śpi
Pod palm i sosen cieniem,
Pod niepamięcią długich dni,
Pod wielkiem grobów milczeniem.

Więc gdy w zaduszny, krwawy świt
Z drzew cieką liście jesienne,
A siejba późnych, ozimych żyt
W ugory wsiewa się senne —

Pomnijmy, że to pominków zew
Pociechą wielką nas wzywa:
— Bo niema śmierci — jest tylko siew
Na święte przyszłości żniwa.

OKNA

Gdy patrzysz w okna domów
Od piwnic aż po strych,
Nie myślisz pewnie o tem,
Co na cię patrzy z nich?

Że okna, to są oczy,
Któremi patrzą w świat,
Jakoby ptaki z klatek,
Twa siostra i twój brat;

Że w każdem takiem oku
Jest uśmiech albo łza —
Ofiarna mieszka miłość,
Albo nienawiść zła.

Dziś, kiedy spojrzysz w okna
Od piwnic aż po strych —
Zastanów się, co może
Na ciebie patrzeć z nich...

NAPOLEON i ALEKSANDER

Dwa widma, szturmujące martwe światа szańce,
I jedyny posępny tryumfator — ból.
Dwa echa cisz mogilnych — cezary wygnańce,
Skały świętej Heleny, śniegi Tomskich pól.
— Napoleon — — Aleksander —

Huragan serc bijących.
Ognista pędu burza,
W krwawych żarach miłości
blada wodza twarz
I nagi grób człowieczy,
co z fal się wynurza
Nad przerażonym światem
jak wieczności straż —
Napoleon.

Wichrołomy lodowisk.
Trwania opór ślepy,
Pod brzemieniem zwycięstwa
ukorzony duch.
Cesarski kij pielgrzymi,
nieprzejrzane stepy,
Sądny płomień legendy,
który z lodów buchł —
Aleksander.

O, ten błysk, który głębie tajemnic odsłania!
O, ta pieśń, powstająca z dwóch mogilnych cisz!
Obudzony z dwóch mroków wspólny blask zarania,
A z ciosu starcia piorun, rozbłyśnięty w krzyż.

Bowiem zlały się w jedno dwie globowe siły,
Swe zadośćuczynienie z Bożych biorąc rąk,
I strojąc się w dwie wielkie samotne mogiły,
Jak w dwa skrzydła anioła, co przed Panem klął:
— Napoleon — — Aleksander —

O czem szumiały tobie srebrne oliwki nad grotą,
Srebrne ogrojce Chrystusowe w zachodzie?
O czem śpiewały tobie dalekie rybackie łodzie
Swych wzdętych białych żagli nieutuloną tęsknotą?

Co ci szeptały świerszczy żarliwe chorały,
I na spiekłych pastwiskach głębokie dzwony kóz,
I korsykańskich kwiatów zapach oszalały,
Któryś przez całe światy w ranie pamięci wiózł?

Różane niebo bladło. Wstawała pierwsza gwiazda,
Dyszał powiew nagrzany spieczonych ziół i skał.
Tyś w twoją gwiazdę patrzył z skalistej groty gniazda
I mocą do niej rósł i na czoło ją brał.

O jakże cichy był krąg zmarłego turkusa zatoki!
O jakże chłodne zawory jej granitowych bram!
O jakże daleki był świat, a błękit jaki wysoki,
A ty z twą pierwszą gwiazdą jakże potężnie sam!

Młodzieńczych laurów gaje szalały zapachami,
Jak tętno krwi dzwoniła pieśń ciszy, gwiazd i fal.
O miłuj, o umiłuj, o zmiłuj się nad nami!
O weź z nas miłowanie kiedy odejdziesz w dal!

A ty nad zmarły turkus w pierścieniu skał zatoki,
Co w nadchodzącej nocy złamaną falą łka,

Niosłeś bijące serce i niespokojne kroki
I wzrok—jak rzut kotwicy poszukujący dna.

Patrzyłeś zadumany z białego cypla skały,
Jak fale wracające i odchodzące wstecz
Twoją samotną gwiazdę w łonie rozkołysały
W promienną smugę ognia—w archaniołowy miecz.

I pijąc pełną piersią miłości złote wino,
Chyląc oblicze blade ponad niewierną toń,
Prawicę niecierpliwą ściągnąłeś nad głębiną,
By gwiazdę twą, jak miecz, uchwycić mocno w dłoń.

ALEKSANDER

Kłamany trup w cesarskim sarkofagu,
Kłamany żal na zakwefionym dworze.
O gdzież stąd szlak w człowieczą prawdę nagą
Przez śnieżny mrok w dalekie białe zorze?

Zawodzą czarne popy żałobnych pień lamenty,
Tysiąc płomiennych serc na gromnic kolumnach drży.
Żałobny gwardji mur. Głuche dzwonów tętenty.
W gwiaździstej bramie nocy, jak ciche widmo — ty.

Czarny płonący gmach na w niebie opartych kolumnach
Setki drapieżnych oczu wślepia za tobą w mrok;
Po granitowych stopniach, jak po olbrzymich trumnach,
Dźwięczy twój odchodzący, samotny ludzki krok.

Przez nieskończone stopnie, przez niepowrotne stopnie
Zstępujesz pod gwiazdami spowity w czarny płaszcz,
A salwa twoich kroków grzmi głucho i okropnie
Między cichemi rzędy czarnych armatnich paszcz.

Czy to tych kroków echo, czy z bark lecące brzemię
Purpury twej cesarskiej i zwycięskiego miecza,
Czy oceanu głąb z hukiem zalewa ziemię,
Czy wali młotem w skroń czerwona krew człowiecza?

Powiew żelaznych piór potężnej równowagi
Oparł się jednem skrzydłem u skalnej wyspy stóp,
A drugiem znaczy szlak człowieczej prawdzie nagiej
Z tronowych sal cesarskich nad bezimienny grób.

Idziesz na twardy zew samotnie pod gwiazdami
Żelaznej oddać szali swój tryumf i swój ból,
A wszystkie cerkwie dzwonią złotemi kopułami:
Wiecznego upokoju o zwól mu, zwól mu, zwól!

Niech nad samotnym głazem mogiły bezimiennej,
Jak tam, nad pustym grobem wśród oceanu cisz,
Jednako się zapala w głębinie nieb bezdennej
Na mrocznej szarfie nocy wysoki gwiezdny krzyż.

SIENKIEWICZ

Modra struga, strojna w niezabudki,
Nad brzegami kępy olch wilgotne —
A na strudze cel dziecięcej łódki:
Wyspa, zwana «ustronie samotne».

Tam kart drogich czytanie stokrotne:
Serc rycerskich radoście i smutki,
Orle skrzydła, ryngrafy pozłotne
I dreszcz wczesny bojowej pobudki.

Książka cudu. W zapomnianem lecie
Bohaterskich snów złoty królewicz —
Pluskot wioseł — niezabudek kwiecie...

Skąd ten obraz wichr wspomnienia miecie?
Umarł... umarł... Kto? — Henryk Sienkiewicz.
— Więc to człowiek był? Więc żył na świecie?

ZIELONE ŚWIĘTA

Płynie ulicą wezbrany,
Wzburzony, skłócony tłum —
A górą, poprzez kasztany,
Przelata szeroki szum.

Tłum mówi: wojny, niewole,
Krew tania i drogi chleb —
Wiatr mówi: słońce i pole,
Drzew zieleń i błękit nieb.

Tłum — o czerwieni i bieli,
Co dzieli na tu i tam —
Wiatr mówi, że nic nie dzieli.
Bolszewik wiatr — ja go znam!

Dla białych on i czerwonych,
Dla wszystkich, stamtąd i stąd,
Życzy zielonych — zielonych —
Ogromnie zielonych świąt.

* * *

Wracają, wracają pułki,
Sztandary i biały bez...
Błękit, dzwony, jaskółki,
Chopinowe mazurki —
Do łez, do łez, do łez...

Wracają — jak mało, jak mało...
Łzy płyną na białe bzy.
O zmartwychwstała chwało!
Stało się, dokonało —
To ty! to ty! to ty!

PRZYPISY

Teksty niniejszego tomu pochodzą z następujących źródeł:

1. BRONISŁAWA OSTROWSKA. Z RAPTULARZA. 1910 — 1917. POEZYE. Charków. Nakładem autorki. Skład główny w Księgarni N. Gieryna w Kijowie MCMXVII. Str. 184.—

W przedruku niniejszym powyższego zbiorku wprowadzono następujące zmiany: a) Cykl oznaczony trzema gwiazdkami (str. 39—50) miał w pierwodruku tytuł «Pierścień życia» i zawierał jeszcze dwa wiersze («Odkupienie» i «Przedwiośnie»), które Autorka powtórzyła w następnym zbiorku noszącym ten sam co wymieniony cykl tytuł: PIERŚCIEŃ ŻYCIA (1918); w wydaniu niniejszem wiersze te znajdują się w tomie IV; b) opuszczono dodany na końcu zbiorku przekład poematu Emila Verhaerena «Mór». Pozatem poprawiono, na podstawie autografów, liczne błędy drukarskie pierwodruku.

2. BRONISŁAWA OSTROWSKA. A.B.C. POLAKA PIELGRZYMA. Charków. Nakładem Księgarni Polskiej, (1916). Str. 30.

3. Utwory z teki pośmiertnej, pisane w latach 1913—1918. Dwa z tych utworów—«Siejba grobów»

(str. 151) i «Okna» (str. 153)—drukowane są podług pierwodruków w tygodniku Zbliska i zdaleka *(Nr. 5 i Nr. 10 z 1913 r.), a cztery pozostałe— podług autografów.*

*

Str. 3. DYWAGACJE. — W autografie tego poematu, oprócz drobnych i niewykończonych warjantów, znajduje się odmienne zakończenie części II. Mianowicie zamiast ostatnich dziesięciu sekstyn redakcji ostatecznej (str. 20—22) jest tekst następujący:

Drgając w powietrzu. Wreszcie za drzewami
Zamajaczyła aleja wjazdowa,
Gdzie z boku ciemną zieleń mirtów plami
Biała kaplica co w krzewiu się chowa
I którą zaraz mi wskazał towarzysz
Z niemym wyrzutem: patrzże, o czem marzysz!

I nic dziwnego, że wskazywał dumnie
Rodową grafów kaplicę, bo trzaby
Pisać poemat o każdej kolumnie,
By jej żałosne wyrazić powaby,
Gdy tak we kwiatach, jak westalka biała,
Na straży domu samotnego stała.

W ogród wjechaliśmy teraz — i długo
Błądził woźnica w błędnem kwiatów morzu,
Patrząc za jakim żywym człekiem-sługą,
Coby otworzył dom; lecz jak w bezdrożu

Próżno się starał wzywać, stukać, hukać —
Trza było samym zejść i państwa szukać.

Zeszliśmy tedy i za domem nieco
Ujrzeli coś nakształt liljowej groty,
W której promienie słońca drżą i świecą
Przez uczepione o altanę sploty
Lilijowych glicynij, co kaskadą
Z przekładzin kapiąc, aż na ziem się kładą.

Pod baldachimem tym, w schylonej pozie,
Na niskim stołku siedziała staruszka
Przy dużej siwej i rogatej kozie,
Pieniste mleko dojąc do garnuszka,
Zasię chwilami pomarszczoną ręką
Gładząc zwierzęcia sierść bujną i miękką.

Czarno odziana, drobna, w aureoli
Srebrzystych włosów nad smagławą cerą,
Z tą kosą, oczy mrużąc słońcu gwoli,
Zdała się wskrzesłą sielankową erą
Pod wodospadem kwitnących glicynij.
Folacci szepnął mi tylko: «Grafini...»

A ona stała z dzbankiem mleka w dłoni
I drugie ramię o kozę oparłszy,
Patrzała, gdyśmy się zbliżali do niej.
A już Folacci, wdzięczniejszy i jarszy
Niż zwykłam widzieć go, zgiął się w ukłonie
I odkrył równie srebrne skronie.

Grafini czarny szal udrapowała
Nagłym stylowym ruchem — i tak chwilę
Trwali a na nich jasność słońca cała
Padała, smugi znacząc w złotym pyle, —
Że w tej powodzi kwiecia i promieni
Zdali się własnem pięknem rozrzewnieni.

Lecz wnet poczęła się wspólna rozmowa
I prezentacja mnie pani grafini,
Która się stała jak dziewczę różowa,
Tłumacząc ze wstydem, że tu w tej pustyni
Nie można nawet służby przysposobić
I trzeba samej wiele rzeczy robić.

Otarła ręce, puściła na trawę
Kozę i szybko szła do domu z nami.
Folacci przez ten czas zaś zdawał sprawę
Ze swych podróży długich za morzami,
A ja szłam obok chłonąca w istocie
To piękno, które czas przepomniał w locie.

Na ganku teraz, z za pąków róż pnących,
Spostrzegłam małą ukrytą dziewczynę
Dziesięciu może lat, o dłoniach drżących,
Któremi kwietną zgarniała gęstwinę,
I wielkich czarnych oczach, co patrzały
Z wiecznym przestrachem z pod rudej nawały

Włosów. Te wielką rozwichrzoną falą
Pouczepiane wkrąg o kwietne róże

W słońcu jak płomień krwawiący się palą
I kryją prawie postać — tak są duże.
Więc prócz tych włosów i tych wielkich oczu
Nie było widać małej w róż przezroczu.

Gdy zobaczyła, że jej kiwam dłonią,
Krzyknęła tylko jak zwierzątko leśne,
Puściła pędy róż, co wraz się skłonią
Rozkołysane — i znikła. Przedwczesne
Życzenie moje spełniła grafini
Później, wołając swe «dziecko pustyni».

Tymczasem szliśmy w wielką sień i sale
Długie, aż tam, gdzie sparaliżowany
Miał leżeć stary graf. Słoneczne fale
Przez zieleń storów malowały ściany
W dziwne desenie, mącone czasami
Wiatrem, co ruszał w przelocie oknami.

Dom pełen spełzłych tkanin, starych mebli,
Rzeźbionem owdzie wykładany drzewem
Od niskich pował do schodowych szczebli
Był wykradziony przeszłości i śpiewem
Świerszczy grający, a od suchych kwiatów
Pełen gorących, słodkich aromatów.

W ostatniej sali, na wielkim fotelu
Rzeźbionym, sam jak cięty w starem drzewie,
Siedział stary graf—z twarzą w tajemnem weselu
Skąpaną — niby w niebiańskim powiewie —

I z tak radosnym, ekstatycznym wzrokiem,
Że się być zdawał w natchnieniu głębokiem.

Wiedziałam o nim, że w swych młodych latach
Był jednym z mściwców, i że spełnił zbrodnię
Zabójstwa; długo po land dzikich kwiatach
Krył się, czekając aż zemsta wychłodnie —
Aż wrócił, władzę utraciwszy w ciele —
Że, słowem, cierpiał wiele, bardzo wiele.

Skąd tedy owa radość na obliczu,
Które był winien ból stygmatem znaczyć,
W jakim to światło starzec czerpał zniczu —
Próżno starałam się sobie tłumaczyć.
Lecz wiem, że twarz mu świeciła od wnętrza
Jako w monstrancji hostja przenajświętsza.

Ta jaśń przygasła nieco, kiedy z nami
Począł rozmowę, trudną przez głuchotę,
Która dzieliła go tajni murami
Od ludzi. Przeto rychłośmy w sny złote
Dali starcowi wrócić i w milczeniu
Odeszli wszyscy w dziwnem zamyśleniu.

Na białym stole czekał już na ganku
Słodki ser kozi i figi i wino,
Pszczoły brzęczały w róż okolnych wianku,
Morze świeciło za drzew pajęczyną,
Płatki dostałych róż czasem na głowę
Spadały deszczem pachnącym — rożowe.

I stał się człowiek sam sobie bezpiecznym
Od sideł życia. Grafini tymczasem
Jeść zapraszała zwyczajem odwiecznym,
A ja, ujrzawszy za róż bliskich pasem
Znów owo dziecko w rudych włosów fali,
Poczęłam prosić, by je przywołali.

Przyszła na babki głos, ale niechętnie
Patrzyła na mnie wielkiemi oczyma,
Bladą twarzyczkę pochylając smętnie.
Więc obaczywszy, że w ramionach trzyma
Lalkę, spytałam, by począć rozmowę,
Jak się nazywa jej bobo różowe.

Mała się stała nagle dziwnie trwożna
I odmówiła wszelkiej odpowiedzi.
Wreszcie szepnęła, że tego nie można
Rzec, boby mogli usłyszeć sąsiedzi.
I skryła lalkę swą ruchem kobiety
Broniącej syna przed prawem vendetty.

Potem strząsnąwszy krwawe runo swoje,
Żałosne oczy utopiła we mnie
I wykrzyknąwszy: Ach boję się, boję —
Odbiegła znów. Poczem już nadaremnie
Wzywaliśmy ją głośno i na migi,
Wskazując ciastka, cukierki i figi.

Tylko z pomiędzy róż świeciły zdala
Dwa czarne żużle, pełne wiecznej trwogi,

I rudych włosów gorejąca fala.
Grafini chciała tłumaczyć, lecz srogi
Smutek w jej oczach tłumaczył nam więcej
Treść tej okrutnej zabawy dziecięcej.

Nie będę pisać dłużej o tej dziwnej
Wizycie w grafów korsykańskich domu.
Został mi po niej jeno bukiet sztywny
Suchych dziś kwiatów, które pokryjomu
Wyjmuję nieraz ze skrzynki pamiątek
I wdycham wonny ten, zwiotczały szczątek.

I wraz czar wstaje — widzę tamtych dwoje,
W słońcu, z sielanką swoją staroświecką,
I dom, gdzie czas utraca władztwo swoje,
Jasnego starca i tragiczne dziecko.
A gdy już oczy otworzę powoli,
Dokolna jawa razi mnie i boli —

*

Str. 154. NAPOLEON i ALEKSANDER. — Autorka zamierzała do tego utworu opracować komentarz historyczny z przedstawieniem znanej legendy na temat śmierci cesarza Aleksandra I, głoszącej, że pogrzeb cesarski był fikcją, a sam cesarz umarł w wiele lat później na Syberji, jako świątobliwy pustelnik Fiodor Kuźmicz. W papierach Autorki znajdują się pewne materjały do takiego komentarza, ale jego tekstu nie udało się odnaleźć.

SPIS RZECZY

Z RAPTULARZA

Dywagacje 3

I 5
II 11

Lamenty 23

I 25
II 28
III 31

Z Wyspy Słońca i Śmierci 33

Ajaccio 35
Voceratrice 36
Lamenti 37
Vendetta 38

* * * 39

Inwokacja 41
Szczęście 42
Lalka rozbita 43
Czereśnie 44
Ognisko 45
Sanie 46
Niedziela 47

Południe 48
Drzewa 49

Styczniowej nocy 1913 r. 51

Wiosna 1912 r. 57

Łazienkowskie Theatrum 1913 r. . . 61

Wiosna 1915 r. 69

List do Pana Gabryela d'Annunzio . . . 73

Dwurondy 81

Hymn 83
Szubienica 85

Pocisk 87

Mogiła 91

Wychodźcy 95

Krzywda 101

Strofy 105

Chociaż nas od was dzieli... 107
W ogniu, gdzie wierna brać... 108
O skwitnijcie, czarne krzyże... 109
Ten sam kwiatowy sen... 110
O, kolorowy, upiorny ułanie... 111
Skąd powracasz... 112
Patrz, serce! Hostja świata... 113
Ciche szczęście, najlepsze na ziemi... . . 114

Suplikacje 115

BIBLIOTEKA NARODOWA

Arachne polska 123
Wić 131
Przypisy (Autorki) 137

A. B. C. POLAKA PIELGRZYMA 139

Z TEKI POŚMIERTNEJ

Siejba grobów 151
Okna 153
Napoleon i Aleksander 154
Sienkiewicz 158
Zielone święta 159
Wracają, wracają pułki... 160
PRZYPISY 161

PISMA POETYCKIE

BRONISŁAWY OSTROWSKIEJ

WYDANIE ZBIOROWE W SZEŚCIU TOMACH

*Tom pierwszy: Opale (1902) * Poezje (1905). Tom drugi: Chusty ofiarne (1910) * Aniołom dźwięku (1913). Tom trzeci: Z raptularza (1910 — 1917) * A. B. C. Polaka pielgrzyma (1916.) Tom czwarty: Pierścień życia (1918) * Tartak słoneczny (1928). Tom piąty: Jesienne liście (1904) * Zielnik (1910) * Krysta. Poemat dram. w 3 odsłonach (1910). Tom szósty: Książka jutra (1922) * Rozmyślania (1924) * W starem lustrze (1928)*

Każdy tom będzie pomnożony o utwory z teki pośmiertnej, nieobjęte żadnem z dotychczsowych wydań. Na końcu tomów umieszczone będą przypisy, dotyczące bibljografji i krytyki tekstu.

WYDAWNICTWO J. MORTKOWICZA

POD ZNAKIEM POETÓW

SERJA NOWA: Zł.

St. Baliński — WIECZÓR NA WSCHODZIE 2.50 w opr. ozd. 5.50

K. Iłłakowiczówna — ZWIERCIADŁO NOCY 3.50 w opr. ozd. 6.50

Jan Kasprowicz — KSIĘGA UBOGICH 3.— w opr. ozd. 6.—

Antoni Lange — GDZIEKOLWIEK JESTEŚ 6.— w opr. ozd 9.—

Jan Lechoń — KARMAZYNOWY POEMAT 2.—

— SREBRNE I CZARNE 2.— w opr. ozd. 5.—

Jerzy Liebert — KOŁYSANKA JODŁOWA 3.— w opr ozd. 6.—

H. Mortkowiczówna — NIEPOTRZEBNE SERCE 3.—

A. Oppman — PIEŚŃ O RYNKU I ZAUŁKACH 2.— w opr. 5.—

Leopold Staff — UCHO IGIELNE 4.— w opr ozd 7.—

— WYSOKIE DRZEWA

Aleksander Szczęsny — PIEŚŃ O DRODZE 4.50

Juljan Tuwim — CZYHANIE NA BOGA

— RZECZ CZARNOLESKA 4.50 w opr. ozd. 7.50

— SIÓDMA JESIEŃ 3.— w opr. ozd. 6.—

— SOKRATES TAŃCZĄCY 4.— w opr. ozd. 7.—

Kazimierz Wierzyński — LAUR OLIMPIJSKI .50 w opr. ozd. 4.50

— PIEŚNI FANATYCZNE 3.— w opr. ozd. 6.—

— ROZMOWA Z PUSZCZĄ 3.— w opr. ozd. 6.—

— WIOSNA I WINO 3.— w opr. ozd. 6.—

Józef Wittlin — HYMNY 3.— w opr. ozd. 6.—

Juljan Wołoszynowski — POTĘGA SNU 3.50 w opr. ozd. 6.50

4618/32

BN
BIBLIOTEKA NARODOWA
544840
t. 3
Biblioteka Narodowa
Warszawa
30001008721073